

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 15 września 1946 r.

Nr 36 (64)

Maciej Czula

Najdawniejsze piśmiennictwo ludowe

Ktokolwiek miałby dzisiaj czas i nieprzymuszoną wolę przeczytać lub bodajże przeglądać ukazujące się pisma i tygodniki ludowe (bo dzienników jeszcze chłopci nie mają) i porównać je z dawniejszymi, wychodzącymi np. przed 40 i 50 laty, tego musi zadziwić, a poniekąd mile zdumieć wielka stosunkowo ilość pisanych w nich na różne tematy artykułów, wierszy i t. p. niezgorszych prac literackich, układanych przez lud, młodzież, a nawet kobiety wiejskie.

Wnosić by można z tego, że skoro piśmiennictwo ludowe jest tak płodne i interesujące, to musi być i dawne, stare, a tymczasem trwa ono zaledwie dopiero jedno pokolenie, bo od początku obecnego wieku.

Nie znaczy to, ażeby gazetki przeznaczonych dla ludu wcześniej nie było, bo np. w Warszawie wychodził już redagowany przez Anczyca „Kmiotek“ w r. 1860, a w Galicji wychodziły: „Chata i nowiny“, „Wieniec“, „Pszczółka“, „Krakus“ i inne około roku 1870, ale chłopcy z powodu powszechnego analfabetyzmu nie wiele mogli z nich korzystać, a skoro czytać i pisać nie umieli, jakże więc mogli do nich pisywać.

Chłopcy literatury nie tworzyli zupełnie przez cały blisko tysiącletni okres naszej historii, a istniała ona jednak w innej formie dużo wcześniej, bo może od czasów Popiela i Piasta: były to legendy i podania, gadki i historie niesamowite, podawane z ust do ust, z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie.

Pierwsze — o ile dobrze pamiętam — wypowiedzi chłopskie drukowane były w „Chacie i nowinach“, gazetce redagowanej dla ludu przez ks. Michnę w środkowej Małopolsce koło Jarosławia, gdzie stykały się odwiecznie dwie nacje: Polacy i Rusini. A jak sielankowe stosunki panowały tam wtedy, wystarczy nadmienić, że listy chłopskie (nie artykuły!) pisywane były w jakimś zanikłym już chyba żargonie polskoruskim i zaczynały się zwykle słowami „Sława Isu Chrystu“.

Najstarszym pisarzem chłopskim powinien być nazwany Deczyński, autor pamiętnika o dawnej wsi pańszczyźnianej. Ale Deczyński był nauczycielem, a więc inteligentem nie chłopem. Najstarszymi zatem zostaną włościanie: Jan Rak (1820) i Maciej Szarek (1826); po tych dwu następuje 20 lat przerwy aż wreszcie przychodzi na świat: Słomka (1842), Magryś (1846), Bojko (1857), Stopa (1854), Kuraś (1871), Nocek (1872), Jantek z Bugaja (Kucharczyk 1874), Witos (1874), ponadto Średniowski i Sobek, a w Królestwie Nakoneczny, Manterys, Niecko, Stolarski, Noczniki i inni.

Na początku 20-go wieku mamy wprost „zatrzęsienie“ chłopskich poetów i pisarzy.

Oredownikami i poniekąd twórcą wielu wybitnych talentów pisarskich na wsi był pierwszy budzieli ludu w Galicji ks. Stanisław Stojalowski. Wyszukiwał skutecznie owe talenty, wyglądał je, zachęcał do pisania i zamieszczał w całości lub z poprawkami w swoim „Wieniu — Pszczółce“ ich pierwsze niezdarne czasem elaboraty. W „Wieniu — Pszczółce“ ostrzyli swe pióra najwybitniejsi później pisarze i działacze ludowi, ona była dla nich elementarzem (jak np. dla Bojki) lub przygotowaniem do przyszłej wielkiej roli — (jak np. dla Witos). Dużo ich potem poprzytulały „Przyjaciel ludu“, „Prawda“, „Niedziela“, „Gazeta ludowa“, wreszcie „Piast“, „Rola“, „Obrona ludu“ i inne. W Królestwie podobną rolę odegrały: „Zaranie“, „Gazeta Święteczna“, „Zorza“, na Śląsku: „Gwiazda Cieszyńska“, „Głos ludu śląskiego“. Najmniej odzywali się chłopscy pisarze w Poznańskim, więcej ich było na Górnym Śląsku.

Najwcześniej rozwijał się u naszego ludu talent liryczny. Wyglądało to tak, jakby chłop mówił lepiej wierszem niż prozą. Wszyscy pierwsi pisarze chłopscy to prze-

ważnie poeci, prozą zaczęli pisać daleko później.

O czym się wtedy w zaraniu piśmiennictwa ludowego pisało? Inne były zainteresowania, potrzeby, nastawienia, żądania ludu i jego stan umysłowy, o co innego trzeba było walczyć, dopominać się, inaczej do duszy chłopca trafić!

Największym nieszczęściem wsi była ciemnota i ucisk chłopów sfer rządzących tj. szlachty i kleru. Z nadaniem swobód politycznych w Galicji wzmógł się znacznie ruch chłopski w kierunku uzyskania peł-

nych praw i wyboru do ciał parlamentarnych w Wiedniu i Lwowie swoich przedstawicieli. Rozgorzała niebawem walka polityczna między stronnictwami chłopskimi a szlacheckimi i ich satelitami, która zaciążyła lat kilkanaście na życiu umysłowym społeczeństwa.

Z tych czasów zapewne pochodzi i następujący wiersz Macieja Szarka, znaleziony w pośmiertnych jego papierach (1904), przedstawiający zabawną dyskusję i wzajemne do siebie pretensje chłopca i szlachcica. Mówi on sam za siebie:

Rozmowa szlachcica z chłopem

SZLACHCIC:

„Ach mój miły bracie chłopie, mam do ciebie prośbę,
Żebyś został posłem waszym, czułbym się z tym dobrze.
Chociaż jestem szlachcic z rodu, mam lud na pamięci,
Duszą, sercem go mituję jak ojciec swe dzieci.“

WŁOŚCIANIN:

Gdzie to ta miłość szlachecka, gdy lud jej nie widzi?
Dawno od ludu uciekła, ciesz się nią żydź!
Szlachcic chytry i obłudny, w nim wrodzona pycha,
Włościanina w każdej sprawie od siebie odpycha.“

SZLACHCIC:

U nas równość być nie może, potrzebna różnica,
Bo co kontusz, karabela, to nie płóciennica.
Chłop się na to na świat rodził, by na nas pracował,
Zdala stał od innych stanów i nie rezonował.“

WŁOŚCIANIN:

Głupstwo pleciesz, mój szlachcicu, a chcesz zostać posłem,
Gdybyś w Sejmie tak powiedział, nazwałbym cię osłem!“

Inni pisarze chłopscy równie dosadnie jak Szarek obrazowali ówczesne życie chłopskie. W kalendarzu „Wieniec — Pszczółka“ na rok 1896 — a więc równo temu lat 50 — włościanin Michał Kabaj z Pilzneńskiego i Andrzej Czarnik z Czudca takie oto uwagi polityczno - społeczne „Do braci chłopów“ piszą: — Kabaj: „W naszym powiecie O. O. Karmelici mają browar i wyrabiają wódkę. Dziwnie wobec tego wygląda słysząc z ambony wyklinanie chłopów, że piją. Na co się komu taka obłuda przyda? Zostaw głupie dziecko w domu, daj mu suche trzaski i zapalki, a potem zabroń żeby ognia nie roznieciło. Pod każdym prawie kościołem widzimy karczmę, ale ponieważ należy ona do kolatora, nie się z ambony przeciwko niej nie mówi. Boże chroń nas od trapiącego wroga: wódki i szlachcica.“

Czarnik wzywa szlachtę, żeby poszła razem z chłopem, ulżyła mu w biedzie i w nędzy, robotnika rolnego nie krzywdziła, była miłosierna i sprawiedliwa. Ale szlachta, zamiast się poprawić, huzia na chłopca i robotnika, bo to bydłota! Dzisiejsza szlachta ani do Boga ani do ludzi. Kościołów nie funduje i w nich rzadko bywa, a na chłopów w Sejmie nałożyła nową pańszczyznę, która mówi: pański las, pastwisko, zajac, ryba, jagoda, grzyb, a ty, chłopie, okup się panu za wszystko, a jak nie, to giń z nędzy i głodu.

A grupa wychodźców z Brazylii: Czarniawski i Rejczakowski z Borysza takie dają rady, żeby mogli przyjąć lepsze czasy:

1) Biedny robotnik powinien zarobić 50 — 60 centów dziennie, aby mógł żyć, i powinien mieć wyznaczone godziny pracy, bo panowie też sobie wyznaczają godziny na pracę.

2) Słudzy czyli fernali po dworach powinni otrzymywać poza ordynarią stałe pensje, bo oni są najbardziej pokrzywdzeni, całą gospodarkę pańską obrabiają, a żyją jak najgorszy nędzarze w barakach podobnych do stajen.

3) Oddać gminom zabrane pastwiska i lasy, żeby chłop miał na czym uchować chudobę i sprzedać jaką sztukę na opłacenie podatku.

4) Nie zabraniajcie ludowi wybierać na posłów takich ludzi, jakich on pragnie, i nie

starajcie się przekupstwem sami tam wejść na jego zgubę.

5) Ulepszenie prawa, żeby procesy nie ciągnęły się pięć, sześć, a nawet dziesięć lat, żeby lud nie wleczył się latami po sądach i nie sprzedawał pola na procesy i długi.

6) A opiekuństwo nieszczęśliwe na co się zdaje? Że sąd i notariusz zabiorą tyle, że sierotom mało co zostanie. Dobre mi opiekuństwo! Tak się wilk owcą opiekował, że ją w końcu zjadł całą.

7) Nie bądźcie zbyt miłosiernymi, bo to oszukaństwo. Gdy myszy lub grad zrobią szkodę w polu, to ciągną chłopca do komisji, do pisarza, do wójta. Myślałby kto, że niewiedzieli co dadzą, a tu buch! Razem 20, 30, 40 krajcarów mniej podatku! Czy to nie naigrawanie się z nieszczęśliwych?

8) A cholera? Toż się niejeden nią podpasał, bo jest ona pomyślnym wiatrem na młyn szlachcica. Jak zaczęła obsadzać wieś wartami „żandarmami“, polewać chłopów karbolową wodą, a domy walać wapnem, odzież mu spalać, a drugiej nie kupią, dać mu mięsa jak umiera, ale czemu nie dadzą lepiej jeść, jak on zdrowy, żeby miał siłę do pracy?

Takie to i podobne skargi zamieszczali chłopcy na łamach pism ludowych, takie mieli potrzeby, żądania, żale, prośby i zainteresowania. Ież w nich gorzkiej ironii, ile zawodu, żalu i skargi na swój żalosny los! W początkach 20-go wieku było już gazet ludowych w Galicji dosyć i chłopcy mogli w nich dowoli wybierać. Wychodziły „Chata i nowiny“, „Wieniec — Pszczółka“, „Dzwon“, „Krakus“, „Krzyż“, „Związek chłopski“, „Przyjaciel ludu“, „Obrona ludu“, „Nowy dzwonek“, „Prawo ludu“, „Prawda“, „Gazeta niedzielną“, i wiele jeszcze innych tygodników, dwutygodników, a nawet miesięczników.

Nieco odmiennie krystalizowało się piśmiennictwo ludowe w Królestwie. W Galicji przywódcy ludowi uświadamiali lud politycznie, w Królestwie Konrad Pruszyński (Promyk), M. Brzeziński, a później Malinowski w „Zaraniu“ uczył lud patriotyzmu i propagują hasło „Sami sobie“, ponieważ życia politycznego w tym czasie w Królestwie nie było. Pracę kulturalno-oświatową prowadzili z powodzeniem w Galicji i Królestwie niektórzy księża jak ks. Bli-

ziński w Liskowie, i ks. Tyczyński w Albogowej. Obydwie wzorowe i wysoko kulturalnie stojące wsie ściągały wycieczki z całej Polski i stały się dla wielu wsi wzorem. Zbyt mało było niestety tych wsi i ich inicjatorów.

W Poznańskim, na Śląsku, a tym mniej na Mazurach i u Kaszubów pisarzy ludowych piszących po polsku do pierwszej wojny światowej nie było. Przynajmniej o takich nie słyszeliśmy, jedyny wyjątek stanowił poeta mazurski Michał Kajka. Działali tam i pisali dla ludu ks. Chociszewski, Miarka, Napieralski, Korfanty i włościanin Kupiec. Po pierwszej wojnie światowej zakwitło piśmiennictwo bujne. Oprócz gazet czysto politycznych poczynają wychodzić także pisma literacko - społeczne, zamieszczające chłopskie utwory literackie, na które gazety polityczne nie bardzo chciały używać miejsca.

W roku 1917 wychodzi pod redakcją A. St. Bassary w Krakowie „Rola“, która grupuje poetów i literatów ludowych; poziom jej był na ogół niski, ale ponieważ czytelnik znalazł w niej i coś do rozveselenia np. stały felieton pisany gwara pt. „Maciek Bzdura“ lub „Kaska Myrdalanka gada“, była dość przez ludzi żądnych drukowanej bibuły czytana i przetrwała do obecnej wojny.

W dniu 2 maja 1920 r. wyszedł pierwszy numer „Młodej Polski“, organ młodzieży zgrupowanej w Małopolskim Związku Młodzieży. Wybiło się w niej kilku młodych poetów i publicystów jak Robert Rydz, J. Marcinek, Fr. Rejman, Fr. Lipiński i t. d. W roku 1938 powstaje w Jordanowie „Wieś — Jej pieśń“ redagowana przez Jantka z Bugaja przy współudziale Antoniego Olchy, a w zmienionej formie (jako „Nowa Wieś“) przez Mariana Czuchnowskiego. W okresie sanacji, kiedy za każde śmielsze słowo groziła Berezka, nie mogło się pismo utrzymać i upadło. Także w grudniu, ale o 5 lat wcześniej zaczął wychodzić w Krakowie „Promień“ pod redakcją dra St. Kulpę-Grodzkiego. Mimo, że w skład redakcji wchodził najwybitniejszy pisarz ludowy i inteligenci ludowi życzliwi, wyszło go zaledwie 7 numerów z wielką szkodą dla pisarzy i samego ludu.

W tym czasie wychodzi w Katowicach „Strzecha rodzinna“ ilustrowane pismo literackie przeznaczone dla ludu. — Człowe artykuły pisali w niej: Fr. Fryszczała, Fr. Lipiński i W. Breowicz. Niestety, niedługo pismo podzieliło los innych i upadło.

Ważne zadanie w propagowaniu na wsi teatrów i chórów włościańskich spełniał również „Teatr ludowy“ redagowany przez miłośnika i twórcę teatrów ludowych na wsi Jędrzeja Cierniaka, zamordowanego bestialsko w okresie okupacji przez hitlerowców.

Pismo „Znicz“ redagowane przez Wojciecha Skużę było bojowym pismem demokratycznej ludowej młodzieży. Spełniało pięknie swoją rolę paki jego duchowy wódz i redaktor nie zginął podczas ostatniej wojny.

Przed samą wojną zaczęły wychodzić w Krakowie radykalne i ciekawie redagowane „Nurty“ pod redakcją St. Matysiaka. Miało dobrych współpracowników i rokowało jak najlepsze nadzieje.

Najazd hitlerowski położył niestety kres tak pismu jak i życiu obiecującego redaktora.

Zanotować wreszcie należy pisarzy ludowych na drugiej półkuli w Ameryce północnej i południowej. Są to pisarze radykalnie nastawieni, piszący prozą i wierszem w prasie wolnomyślniej.

Najbardziej znani z nich to: Antek Socha, Tadeusz Sawicki, Józef Makowiecki i Marja Chybowska, a w Brazylii Wł. Wójcik.

Przy skrzętnych poszukiwaniach znalazłoby się ich na jednej i drugiej półkuli znacznie większe grono.

Józef Pogon

MÓJ ŻYCIORYS (II)

Gdy w końcu 1940 r. zacząłem pisać pierwszą książkę, miałem wiele trudności i różnych przeszkód. Przede wszystkim sołtys wsi, pół-analfabeta, lecz człowiek energiczny i rezolutny, zaprzęgał mnie do swego „kieratu” urzędowego, ponieważ we wsi nie było innego tak „uczzonego i czasowego dziada”, jak ja. Na każde skinienie sołtysa musiałem być do jego usług i spisywałem bydła, koni, ludności, ziemi, obliczałem podatki i okupowałem utrzymanie się we wsi. Gdy jednego razu odmówiłem tego sołtysowi, oświadczył mi kategorycznie, że „na drugi raz za taki rozmysły upór pojedzie do Niemiec na roboty”. Niby sołtys miał rację co do mego „uporu”, nie wiedział bowiem o mej pracy pisarskiej na większą skalę.

Drugą przeszkodą byli sąsiedzi. Odwiedzali mnie częściej, niż przed wojną na pogawędki o wojnie, wyjaśnienia geograficzne i t. p. i całkiem nieświadomie przeszkadzali mi nie mniej od sołtysa. Oprócz zajmowania droglego czasu, uśmiechali się ironicznie lub drwili otwarcie; zaczęli brzdąkać, że „Pogon od strapienia widać już bzikuje i widać coś kreśli”. I mieli swoją rację, bo jakże inaczej można było sądzić o biednym „cepaku” ślepczącym całym dniami nad zeszytem z ołówkiem. Przecież, jak ino Będkowice stoja, jeszcze takiego dziwaka nie było.

A nie mogłem się zwierać przed ludźmi, że piszę książkę, bo nikt by w to nie uwierzył i jeszcze bardziej drwił ze mnie.

Byli też tacy, co próbowali mi brać z ręki zeszyt, by się dowiedzieć co piszę. Odpowiadałem im, że uczę się rachunków, bym po wojnie mógł zostać urzędnikiem. Lecz nie wierzyli wykretom i mówili: — Bujacu, ty wojnę i Hitlera opisujesz. Uwożij zeby cie Niemcy nie popadli, bo wsłanknie.

Widomo, że takie ostrzeżenia nie były miłe dla mnie, gdyż i dzieci sąsiadów wiedziały i powtarzały między sobą, że „Pogon wojnę i Hitlera opisuje”. W razie pojawienia się we wsi Niemców niektórzy sąsiedzi przechodzili do mnie i ostrzegali, bym „se schował te pisaniny”.

Byłoby jeszcze pół biedy, gdybym miał większą izbę, gdzie mógłbym na uboczu postawić stolik, aby ludzie nie mogli mi zaglądać do zeszytu. Najbardziej przeszkadzali mi krewni żony, bo ona żaliła się przed nimi, więc ci widzieli we mnie tylko jakiegoś obłąka i gnębiciela swej rodziny. Powstawały z tego często kłótnie domowe, a nawet bójki. Ja przeważnie ustępowałem, bo przyznawałem przeciwnikom z punktu ich widzenia rację jak również obawiałem się, by w ostateczności nie oskarżyli mnie przed Niemcami za różne wobec nich grzechy.

Pisanie w tych warunkach było po prostu męczarnią. Lecz uparłem się, że muszę skończyć powieść, zanim się wojna skończy. Temat obmyśliłem jeszcze latem przy pracy w polu. Miałem jednak dość kłopotu z wyborem: czy romans? powieść obyczajowa? czy przeżyć wojennych? i t. d. Jednak te tematy zdawały mi się jałowe w treści, nie wiele lub zgola przynoszące moralnych korzyści przyszłym czytelnikom. Chodziło mi o coś więcej; by najtrafniej odzwierciedlić duszę chłopską w jej dodatnich i ujemnych stronach, czyli obiektywnie przedstawić chłopca we wzajemnym ustosunkowaniu się do siebie oraz do wszystkiego co go z zewnątrz otacza. Więc wybrałem za temat przebieg życia wsi i okolicy w okresie mniej więcej dziesięciu lat przed wojną.

Po napisaniu na brudno zwróciłem się do inż. J. Rościszewskiej o radę. Zachwyliła się treścią, sumiennym oddaniem rzeczywistości, ciekawymi postaciami bohaterów, ich językiem, lecz nie udało jej „chropawy styl”. Wyjaśniła mi, o co chodził, i przyznała jej zupełną rację. Zrozumiałem, że niby dobra rzecz, ale niudolnie wykonana.

Zasmuciłem się i zabrałem do korekty.

Upłynął może tydzień, gdy Rościszewska przysłała po mnie słażką. Pobiegłem szybko. Tam czekała mnie niespodzianka: Rościszewska wręczyła mi 200 zł. zaliczki a conto przyszłego honorarium mej książki i jednocześnie podsunęła mi papier do podpisania, ażeby dostarczyć książkę do potajemnego wydawnictwa w Warszawie. Jak się tym ucieszyłem, po prostu nie da się opisać. Zdawało mi się, że to bajka. Sen, nie rzeczywistość.

Za otrzymane pieniądze kupiłem sobie koszulę, spodnie, 50 kg żyta i jeszcze trochę mi zostało.

Z ogromnym zapałem zabrałem się do dalszej korekty i do przepisywania na czysto. Sąsiadów znów to zainteresowało, a zwłaszcza, że co kupiłem spodnie i koszulę, wszak wiedzieli, że nie na to nie sprzedał. Przeraziłem się by przypadkowo nie doszło to do wiadomości Niemców i nie spowodowało aresztowania mnie i Rościszewskich, w których często przebywałem. Więc na wszelki wypadek wystawiłem bratu w Jerzmanowicach weksel dłużny na 300 zł., czyli, że od niego pożyczylem pieniądze.

Cztery miesiące pracy nad książką strasznie mnie przemęczyło, że tylko cień ze mnie pozostał. Rzeczywiście, że bardziej szkodliwe były warunki, niż sama praca, która przedstawiała się następująco: nocą leżąc w łóżku rozmyślałem, co mam nazajutrz pisać w danym już z góry uplanowanym rozdziale. Rozmyślania trwały zazwyczaj do północy. Ale i po północy nie zawsze mogłem spać spokoj-

nie, bo leżąc to razy rozerwała się zniszczona poszwa pierzyny. Wtedy żona budziła mnie, zbierała po płacicie rozsypane pierze, wkładała do pierzyny i sznurkiem zawiązywała dziurę. I narzekała przy tym na mnie, że wolę dzładować, niż iść na posadę do Niemców, choć się już wyszkoliłem na to. Rano wstawałem o świcie i pisałem cały dzień, zazwyczaj bez obładu. Czasem oderwałem się do jakiejś pracy, a najczęściej przerywałem ją sołtys i do reszty sąsiedzi pogwarkami.

Po ukończeniu oryginału znów zrobiliśmy korektę z Rościszewską i mąż jej wysłał książkę, gdzie należało. Gdzie? — nie wiedziałem, gdyż Rościszewscy nie powiedzieli mi o tym, a nie byłem zbyt ciekawy pytać się o to. Wystarczyło mi, że Rościszewscy byli dobrymi patriotami, więc książkę przelali do polskiego wydawnictwa.

Lecz dalszej zaliczki na razie nie otrzymałem. A tu właśnie nadeszła wiosna i zbliżała się ciężka przedówka. Na razie nikt nie przewidywał, że będzie katastrofalnie. Ale raptem w maju ceny zaczęły „skakać” w górę i niebawem korzec żyta kosztował w naszych stronach 1200 zł, a ziemniaki 350 zł. W dodatku nie było gdzie kupić, bo rok był kiepski, a i Niemcy zabrali wielkie kontyngenty. Nie wolno też było ani sprzedawać ani kupować zboża i za to groziła surowa kara.

Rozpacz biedaków nie miała granic. Łazili nawet tydzień za ćwiercią ziemniaków, lecz najczęściej bezskutecznie. Mnie brakło żywności już w maju. Łaziłem więc za kupnem jak wszyscy. Jednego dnia obszedłem pięć wsi i zaledwie kupiłem 8 kg bobu. Sprzedawałem na to dwie kury.

W tym to ciężkim czasie pragnąłem pisać drugą książkę, lecz nie mogłem, i to mnie jeszcze bardziej gnębiło. Próbowałem, lecz widmo śmierci głodowej paraliżowało moje myśli. Układałem tylko plan książki. Miał to być dalszy ciąg poprzedniej, tylko planowałem ująć czas wojenny.

Całe lato zeszło mi na utrapieniu, a jesień znów na ciężkiej pracy fizycznej. Musiałem zarobić coś niecoś u sąsiadów, bo choć z Warszawy otrzymałem dodatkowo 300 zł zaliczki, jednak tego nie starczyło na zabezpieczenie się na zimę. Rzeczywiście, że mógłbym zarobić coś mierzeniem pól, ale „we wojnę moja geometria wzięła w łeb”.

Z początkiem zimy znów zabrałem się do drugiej książki i po napisaniu kilku rozdziałów dostałem naprzód 600 zł zaliczki a po ukończeniu znów 400 zł.

Zaliczki te postawiły mi nieco na nogi i uwolniły od wynajmowania się do fizycznej pracy. Starczyło tyle, by zjeść choć dwa razy dnia, mieć strzępa na grzbiecie, zrobić u siebie co należy i pisać z trudem.

Więc z kolei pisałem trzecią książkę, lecz po ukończeniu, mimo przyrzekania mi zaliczki — nie posłałem już do wydawnictwa z uwagą na małą wartość zdewaluowanego pieniądza.

Następnie pisałem nowelę. Ale coraz mniej, aż wreszcie przestałem całkiem pisać, bo coraz bardziej gorączkowe nastawały chwile, że nie było „głowy na karku” i nie było się ani godziny pewnym życia. Było się tylko jakąś zwierzyzną w potrzasku i z wytrzeszczonymi zrenkami wyglądało się śmierci od teutońskich oprawców. W każdy niemal tydzień bywały oblavy na ludzi, a w sąsiednich wioskach, na przykład: w Łazach czy Radwanowicach działy się okrucieństwa mrozące krew w żyłach. Tam mordery żywych ludzi przybijali do drzwi stodół lub przywiązanych postronkami do samochodu wóczyli po kamienistej drodze. W Radwanowicach zamordowano w ten sposób 34 osoby, w Łazach 2 i 20 aresztowanych, a w Będkowicach zastępcę sołtysa.

W tym to czasie Niemcy wymordowali zamieszkałych w Będkowicach Żydów. Wywieźli ich do Kały pod Ojcówem i tam masowo rozstrzelali. Lecz wielu z nich, a zwłaszcza ci co mieszkali pod przybranymi nazwiskami, jako Polacy uratowali życie. Byli to inteligenci. Z niektórymi zaprzyjaźniłem się bliżej, a najbardziej z sędzią dr. Elchhornem, z J. Czarakiem i z nauczycielem gimnazjalnym P. Jabłońskim. Ten był Polakiem i ukrywał się pod pseudonimem Z. Dobrzański. Związałem się wzajemnie ze swych trosk, uczuć i różnych spraw patriotycznych.

Sędzia Elchhorn utkwil mi najbardziej w pamięci jako dobry i wielce szlachetny człowiek. Interesował się życiem wsi, przyjmował u siebie chłopów z otwartymi ramionami, sam ich też często odwiedzał, doradzał w zawilej sprawie, pożyczal pieniądze, a biedakom często podarował jakąś koszulę, spodnie, buty i t. p. Wieśniacy szanowali go bardzo, a nawet kochali po prostu i ostrzegali przed niebezpieczeństwem. W roku 1942 cudem uniknął on śmierci od niemieckich oprawców. Ukrywał się u mnie przez pewien czas, trochę gdzieś indziej, choć za to groziła nam śmierć. Wreszcie dobrzy ludzie wyszukali mu bezpieczne schronisko w Krakowie. Przeżył wojnę i jest obecnie wiceprezesem Sądu Okręgowego w Grudziądzu.

Uratowali się też w naszej wiosce: dr Luister z rodziną, dyr. gimnazjum Bergrinowa wraz z matką i siostrą, p. Dukatowa z dzieckiem i J. Czarakiem. Wieśniacy na ogół wiedzieli o ich żydowskim pochodzeniu, jednak nie tylko że ich nie zdradzali przed Niemcami, ale nawet pomagali im do przeżycia

wojny. Każdy powtarzał: — Przecie to bite Żydy, ale tak samo ludzie jak i my. Wszyscy my teraz nieszczęśliwi i powinniśmy się chronić przed katami... Nie wolno czekać na śmierć czyjejś śmierci na swoje sumienie.

A przyznać trzeba, że oprócz sołtysa, który brał okup od ukrywających się Żydów — nikt inny nie miał z tego żadnych korzyści. Ze wszystkich mieszkańców z Będkowic tylko trzy osoby splamili honor Polaka: jeden sołtys, który — oprócz okupu od Żydów, łapówek od gospodarzy oraz zmuszania biedaków do bezpłatnej u siebie pracy w gospodarstwie — wysłał do obozu w Niemczech jednego chłopca; drugi strażak K. W. na rozkaz Niemca złapał w lesie Żyda, przyprowadził go na śmierć, za co dostał sto złotych nagrody; i trzecia nauczycielka E. G. Ta już stale przyjmowała u siebie mordercę, komendanta policji K. Nowaka, jeżdżącą z nim samochodem i t. d.

Smutek i przygnębienie duchowe miejscowa inteligencja starała się „zabić” roziwkami. Urządzali więc u Rościszewskich wesole, antyniemieckie rewie, w których i ja brałem też udział jako aktor. Występowałem w roli sołtysa czy wójta i niby lizoni niemiecki — recytowałem satyryczne humoreski własnej kompozycji. Goście bili mi brawa.

Ale mimo tych braw i częstej z nimi rozmowy, jeden gość książkę nie podał mi ręki na powitanie dlatego, iż nie odprawiłem tak zwanych „dziewięciu piątków”.

Oprócz miejscowej inteligencji, rozmawiałem też często z partyzantami, którzy odwiedzali mnie, byłem bowiem z nimi w ścisłym kontakcie i u siebie w domu składałem przed nimi przysięgę.

Włókłem z dnia na dzień zakłętą żywot, aż wreszcie po wyczerpaniu się pobranych poprzednio zaliczek, okrutna nędza zaczęła szczyścić na mnie zębami. Z początkiem 1944 r. pozostałem bez środków do życia. Jedynym mym majątkiem było lice ubranie kupione za otrzymaną zaliczkę. Szukałem więc ratunku. Do robot w Niemczech czy na posadę? — Boże zachowaj! Wolałbym śmierć. Do partyzantów? — nie miałem zdrowia, zaś do służby u gospodarza? — ambicja nie pozwalała.

Nareszcie wyszukałem sobie służbę stróża nocnego we dworze Stefana Skrzyńskiego w Włokowicach. Było to dla mnie dobrą okazją do poznania stosunków we dworze. Zgodziłem się pełnić służbę w nocy i dodatkowo pompuwać ręcznie wodę. Parę pozostałych od snu godzin obliczyłem na czytanie książek czy też pisanie. O uczciwości mojej na objęcie tej posady zareczyło paru znających mnie „notabliów”.

Wkrótce przekonałem się, że z magnatami nie taka łatwa sprawa, jak się to na pozór wydaje. We dworze musi być bydleciem, bo ludźmi są tylko „jaśnie państwo”. Jakkolwiek swe obowiązki wykonywałem należycie, jednak „jaśnie państwo” zaprzęgli mnie do różnych dodatkowych usług. Prawda, że z mieszkania rzadko mi wywalił przed swe „oblicza” ale Boże zachowaj, bym ubrany wyszedł z książką przed pałac. Wtedy rozgniewana dziedziczka mówiła: — stróżu, albo się zamknijcie w mieszkaniu na wszystkie zamki, albo do pracy. We dworze nie ma panów, ani czytelników.

Na razie usprawiedliwiałem się, iż wykonywałem należycie swą powinność, ale wnet pojąłem o co chodziło: nie należało niwelować kolosalnej różnicy między „jaśniepaństwem” a służbą. W tym przekonaniu upewniłem się jeszcze mocniej, gdy zauważyłem, że „jaśniepaństwo” najmniej odnosi się do tych robotników, którzy byli najbardziej ubrudzeni i gołym ciałem świecili przez postrzępioną odzież. A nie można powiedzieć, że mieli litosć nad najbardziej ubogimi, bo przecież same milsze słówka nic im nie pomagały.

Zorientowawszy się w sytuacji — po przespaniu się i napompowaniu wody — czytałem w mieszkaniu. Lecz na nieszczęście przed mým okienkiem był taras, gdzie „jaśniepaństwo” siadało w fotelach. I znów nienawistnie spoglądali przez szyby na siedzącego przy stole po „pańsku” stróża. Wtedy polecali służącej wołać mnie do różnych usług.

Zorientowałem się i w tym. Więc leżałem w łóżku i czytałem. Poskutkowało. Ale przecież człowiek nie „drzewo”, nie może w dzień leżeć w łóżku. Musiałem się poddać chlebowdawcom. Wychodziłem więc w postrzępionej odzieży i spełniałem różne usługi.

Chcivość Skrzyńskiego wiele mi zdziwiła. Otóż nabył on od Niemców 50 jałówek, które przywiezione były ze wschodu podczas przesuwania się frontu. Jałówki te Skrzyński

sprzedawał po trzy tysiące złotych, a jak się potajemnie dowiedziałem od kierownika szkoły — jałówki te kosztowały po 170 zł. Dzieńdzic i rządca prosił mnie o wyszukanie kupców na te jałówki, gdyż nie było na nie miejsca w oborze i stały w stodolach.

Z dziełkiem rozmawiałem czasem wieczorami w ganku i często prosiłem go, by mnie zwolnił od usług, bo chcę się uczyć. Był względem mnie niby uprzejmy, ale ze słów jego wyczułem, iż z różnych względów nie może na to pozwolić.

Po kilku miesiącach wzięwszy za służbę trochę zboża i ziemniaków — pożegnałem wielkopolski dwór. Miałem wiele kłopotu, bo rządca chciał mnie odesłać do Arbeitsamtu, a nawet za kratę — jak się wyraził. Był on wielkim pańskim lizoniem, a rogi miał straszne i bódli. Ale jakoś ubłagałem dziedzicę, że chorzy i po zbadaniu lekarskim zwolnił mnie.

Po odejściu ze dworu nie długo utrzymałem się w domu. Kłopoty rodzinne, czterotysięczna chmara Hitlerjungów i przymusowe roboty przy sypaniu okopów wstrząsnęły mną do głębi. Uciekłem ze wsi i zamieszkałem u krewnego młynarza w sąsiedniej wiosce. Dom jego stał na uboczu pod lasem, więc można było trochę swobodnie oddychać. Młynarzowi uczyłem córkę po trzy godziny dziennie, a resztę pracowałem w gospodarstwie za samo utrzymanie. I włókłem jakoś nędzny żywot.

Nareszcie wolność i radość niewypowiedziana. Ale nie za długo nowa rozpacz znów mi ogarnęła: — dotychczasowi przyjaciele-inteligenci odsuwali się ode mnie. Nie chcieli nawet rozmawiać ze mną. Jeden oświadczył mi, że gdy zostanie dyrektorem, wtedy weźmie mnie z sobą za... wożnego. Inna osoba zaczęła mnie „wartościować”: — „Pańska przyszłość przedstawia się tragicznie. Powieści zapewne do „luftu”, bo... inaczej się stało... Byby pan cennym pisarzem, ale... nie w takim ustroju. Co będzie z panem? — ja nie wiem. Do biura? — brak wykształcenia; rolnikiem być nadal? — brak majątku; kupcem? — brak funduszy; mógłby pan być na przykład portierem, ale znów brak cierpliwości; wożnym? — też nie, bo trzeba każdemu pokornie usługiwać; stróżem? — już pan był i nie wytrzymał; robotnikiem? — brak sił”. Po prostu nie nadawałem się do niczego.

Każdy mówił mi co innego, a w tych uwagach kryła się tylko pogarda dla mnie. Otworzyły mi się oczy: kłłka, z którą cały czas wojny obcowalem, liczyła na to, że pomagając mi zrobić ze mnie pańskiego pacholka. Ale niestety „inaczej się stało” i... — idź precz od nas chłopc, bo śmierdzisz gnójem. Jeden tylko sędzia Elchhorn przyrzekł mi pomoc, lecz na razie był bezradny, bo sam jeszcze nie miał posady.

I wszyscy poszli w „swe strony”, a ja zostałem sam niby przez fale morskie na brzeg wyrzucony. Dyszałem ostatkiem sił. Rozpacz, bo kto znał moje rodzinne stosunki, ten wiedział dobrze, że tam nie mogę być dalej. — Czy mam nadal być włóczęgą z kosą po okolicznych wsiach, jeśli powieści do „luftu”, a do biura brak wykształcenia — szumiała mi w głowie.

Chwilami dobre myśli rozjaśniały mi czoło, że przecież jestem mężczyzną... że dam sobie radę... tylko by w innych warunkach niż dotychczas... by nareszcie być człowiekiem, a nie bydleciem.

Niekpokój dręczył mnie z dnia na dzień i z utęsknieniem wyczekiwania na przyrzeczoną mi przez sędzię Elchhorna posadę w Sądzie. Aż oto jednego dnia przypadkowo przeczytałem w „Dzienniku Polskim” krótką wzmiankę, by pisarze zgłaszali się do związku. Jakkolwiek nie orientowałem się w sprawach organizacyjnych pisarzy, jednak wiedziałem, że do Związku mogą mnie przyjąć tylko na podstawie oceny mego dorobku. Zabrałem więc rękopisy i udałem się do Krakowskiego Oddziału ZZLP i czekam cierpliwie wyniku. W parę tygodni znów mi tam zwróciłem. Zostałem prezesa dr Wykę Kazimierza i chwilę z nim rozmawiałem. Przyrzekł przeczytać moje rękopisy.

Wkrótce rozpoczęła się parcelacja majątków i osadnictwo na zachodzie. Ponieważ w Będkowicach nie było dworu, postanowiłem więc wyjechać na zachód. Już się zarejestrowałem, wyrobiłem sobie potrzebne papiery, gdy oto otrzymałem list od prezesa, dra K. Wyki. Ogarnęła mnie niewymowna radość, bo prezes przyrzekł mi i przyjecie do Związku i możliwość druku i pomoc pieniężną.

Nazajutrz udałem się do Krakowa. Prezes, dr Wyka przyjął mnie do Związku, wręczył mi tysiąc zł zasilku i dał list polecający do Kolegów w Katowicach w celu umożliwienia mi otrzymania gospodarstwa.

Długi dramat mego życia zakończył się. Pojechałem na zachód rozpocząć nowy żywot. Żywot człowieka.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Adolf Rudnicki

WRZESIEŃ

Cena zł. 35. —

Tęgoż autora:

»Lato« »Czysty nurt« »Kości« »Mjr. Hubert z armii Andersa« »Józefów« »Uśmiech żandarma«

„KSIĄŻKA”

Józef Czechowicz

„Miesionc mordom ciepie nisko”*)

Rzecz o poezji Pawła Kubisza nie może się zacząć inaczej jak krótkim porachunkiem z twórczością gwarową.

Sprawa ta oddawna w Polsce kipi, lecz wykipieć nie może. Jedni, skoro mowa o utworach pisanych gwara, mniejsza o to, prawdziwą, czy stylizowaną, wzruszają ramionami; dla nich pisarstwo takie jest poza krągami literatury. Inni, nie wnikając w moc sztuki, witają entuzjastycznie każdy dziwoląg tracący jednością naszych gwar.



rys. St. Cieloch

PAWEŁ KUBISZ

A przecież ni tak ni siak nie można owej kwestii postawić. Oddajmy cesarskie cesarzowi i boskie Bogu: „Chłopi”, „Na skalnym Podhalu”, niektóre t. zw. góralskie wiersze Tetmajera to naprawdę majstersztyki. Mowa tych utworów jest żywa i jakże bliska ostatecznym osiągnięciom.

Majsterstwo autorów dało jej ten blask. Gwara sama przecież nie jest zasługą ni tytułem do Parnasu. By dzieło zyskało blask, jaki zostawia niewidzialna stopa muzy, trzeba koniecznie muzy. Uwidacznia się ona w stopniu harmonii, wiążącej charakter utworu z charakterem jego gminy, jego tworzywa. Nie wszystko bowiem nadaje się do gwarowej twórczości. I tak jak z poza „literackiego” rzekomo języka niektórych dzieł napisanych przez surowych kulturalnie pisarzy pochodzenia chłopskiego widać wilcze łapy, tak też, gdy twórca pisarza jest gwara, a obraca się w atmosferze niezgodnej z rustykalnym sposobem reakcji — porywa „śmiech pusty, a potem li-tosć i trwoga”.

Bo gwara pasuje przede wszystkim do epiki, jako że chłop, lud ma epickie widzenie świata, a nurt liryczny wstydlawie ukrywa przed sobą i innymi. Chłop prawdziwie sentymentalny byłby najśmieszniejszym chyba człowiekiem. Chcę powiedzieć, że do liryki w ścisłym tego słowa znaczeniu, do liryki czystej, gwara nie nadaje się, bo jest nieliryczna, nieodcieniona, nie trafiająca mimo, niekolująca.

Dlatego w utworze prawdziwie lirycznym, przynajmniej w moim rozumieniu liryki, może mieć zastosowanie jako cytata, jako motyw, wiersz czy też dwuwiersz — nigdy zaś jako sedno tworzywa słownego.

Nie wynika z tego, że liryka gwarowa to coś nie do napisania. Jeżeli będzie w niej duży ładunek epickości, napięcie silnych uczuć niemal dramatyczne, nie zgrzytnie w czytelniku fałszem. Ale przecież to jest dość dalekie od naszych bądź co bądź mieszczańskich pojęć o tym dziale poezji.

Mówi się (czasem z przekąsem, czasem z zachwytem) — poezja ludowa! Ale poezja ludowa prawie nigdy nie jest liryczna. Mieśni opowiadające o czymś, o Kasi co kąpała koniki, te perły pieśni ludowej są właściwie balladami, epiką. W ostatnich czasach namnożyło się twórców regionalnych. Jedni piszą byle co, bez żadnych ambicji, byle się wyżyć gwarowo, inni mniej lub więcej szczerliwie idą wzwz, wspierając swą siłę poetycką na języku ludowym. Poezje Pawła Kubisza należą do najlepszych rzeczy w tym rodzaju.

„Przednówek” ma jędrny smak epiki, co od razu daje do zrozumienia, że nie gra on melodiami, lecz jest czymś konkretnym, twardym jak dłonie górników. A są to wiersze o buntach przeciw uciskowi, o nędzy górskiej, o chwale czasu zbójnickiego, o bijatyce w karczmie, o tych co poszli „za chlebem”. Sprawy owe Kubisz opiewa mocno, mrocznie i surowo. Czytając, wie się odrazu, że to nabrzmiałe cierpieniem słowa tamtejszego człowieka, autochtona. Kto inny nie czułby tak śląskich bied, mógłby im najwyżej współczuć.

I tamtejszej to mowy zasługa, że poezje „Przednówka” błyskają tu i ówdzie pięknościami staropolszczyzny. Gwara tej dzielnicy naszej Ojczyzny, dzielnicy niemczonej i czechizowanej zawzięcie, przechowała przecież tak wiele form językowego staro-wieku, tak wiele czarów mowy jagiellońskiej.

Poeta pisze: „na czarnym niebie białych róż bagnety”... „nie zwódź synku, mje na pole w sianie leżyć i omdlywać”... „szepcze noc, mówi, wydziwio — hanej w stawach gwiazdy pływom...”

A o księżycu: „miesionc mordom cie-

pie nisko”... „kolanami miesionc kopie w pozłocym gwieżdzie snopie”...

Oto większa próbka wierszy z lez, gniewu i skargi:

...Tam pod lasym na buczynie
kasek świata we mgle płynie —
tamzież posoł sztyry krowy,
synek mały i niezdrowy.

Tamzież se pieśniczki śpiywoł,
na piszczołce se wygrywoł —
ciurlikały mi zwónecki
co nosiły ich króweczki.

A kiej jesień sie kapała
w pajęczynie mrozym ślała, —
to jo boso krowy posoł
i zębami z zimna ciosoł.

Puchły z mrozu mi palczyska,
a na nodze dwa wrzodziska.
Taki sine i cyrzywione —
pęczniały mrozym nabrnióne...

W ostatnim wierszu tego utworu zmieniła się ilość sylab i załamał się szereg akcentacji. Nierzadkie to zjawisko w poezji

Kubisza. Bywa i tak, że ów ciąg akcentacyjny przeobraża się gdzieś bez zmiany liczby przyeisków. Przykład:

...Pije chachar — grej muzyko!
Pólnoc w godzinach kuwiko;
strzybno noc sie na świat dziwo...

Niezamierzony zapewne efekt, bo o takie rzeczy chyba poecie „Przednówka” nie chodzi, przypomina swą prostotą kunszt rymotwórczy wdzięcznych hortulusów z XV i XVI wieku.

Wiersze Kubisza wrą od czasowników: zażroć się, nadawać, tyrczyć, zmiroć, rymkocić, szkabić się, szczyrkotać, dlaboczyć. Doprawdy niewiadomo czy gwara nadolzańska tak je rozpleniła, czy też może z dawności przechowała. Na kartach „Przednówka” spotykamy się bowiem też z wieloma słowami i formami, przebrzmiałymi, napewno starymi, co przebrzmiewają w naszych uszach echem Czarnolasu, a może lamentów świętokrzyskich: umrzyty, tamzież, grof, putyka, trówa — to znamy.

Ta książka jest lamentem cieszyńskim, śląskim, co przywalony głazem grobowym nie cichnie. Jeśli o kim można powiedzieć, że wypowiedział rozpacz ludu tamtejszego, to chyba o Kubiszu, ciosającym wiersze toporem, wiersze ciemne, pełne czekania, że wreszcie będzie inaczej, pełne porywania się ku jutru. Głoszą one nie tylko dolę śląską, ale i więcej: ludzką.

Stefan Lichański

Poezja Pawła Kubisza

Paweł Kubisz: *Przednówek*, wydanie drugie, Łódź, 1946. Nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Str. 92+4.

Paweł Kubisz pisze gwara. Okoliczność ta prowokuje do rozprawiania na temat „samorodności”, „rodzimości” jego poezji. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że na prawdę gwarowa jest tylko poezja bezimienna, owe śpiewki układane przez anonimowych poetów z Bożej łaski. Gwara jest w tym wypadku naturalnym systemem językowym autora. Posługuje się on gwara nie koniecznie dlatego, że nie potrafi użyć języka literackiego, ale przede wszystkim dlatego, że gwara najlepiej przystaje do tego zespołu pojęć i uczuć, które pragnie on w swojej piosence wyrazić.

W każdym innym wypadku gwara jest systemem językowym obcym, zastosowanym przez poetę dla osiągnięcia pewnych zamierzonych efektów. Gwara staje się wtedy narzędziem poetyckiego wyrazu, podobnie jak np. przenośnia czy porównanie, i najważniejszym musi być dla nas nie sam fakt użycia gwary, ale sposób jej stosowania.

Ażby zaklasyfikować we właściwy sposób poezję Kubisza sięgnijmy do niej samej. Zestawmy ze sobą dwa następujące fragmenty z tego samego utworu: „Co to młody gorol prawil, jak sie mu na śmierć niosło”. Oto pierwszy z nich:

*Trówly mi tam nie ciosejcie!
Ani krzyża nie strugejcie —
Ani mi kadzidłym kadźcie,
Ani o pogrźbie radźcie...*

Strofa ta jest jakby żywcem wyjęta z autentycznej pieśni ludowej, formą swoją przypomina ona tak dawne zabytki naszej poezji jak „Legenda o świętym Aleksym” czy „Rozmowa mistrza ze śmiercią”, utwory pochodzące z okresu, kiedy nasz język literacki dopiero kształtował się i wyodrębnił z mowy potocznej. Jakże odmiennie brzmi inny fragment tego samego utworu:

*Twardo, silno, uporczywie —
Chcym rzymkocić słowym w gniwiewie,
Chcym buntować sie... przeklinać,
W ziąb i boleść słowa ścinać!*

*W poszatpaniu całej duszy,
Wszystko w bezpamięć rozkruszyc,
Strzaskać, zburzyc, postarasić —
W nic ostatni czuci zgasić!*

Język obu cytowanych fragmentów jest ten sam, ale zawartość treściowa drugiego z nich przywołuje na myśl raczej lirykę Tetmajera niż pieśń ludową.

Fragmentów takich znajdziemy w „Przednówku” sporo. Sporo jednak będzie i fragmentów o wysokim procencie autentyzmu ludowego. Mamy więc w poezji Kubisza stałe zderzenia się dwu tradycji literackich: ludowej i artystycznej, przy czym żadna z nich nie przeważa nad drugą w sposób wyraźny.

Pozwala to na postawienie wniosku, że posługiwanie się gwara jest u Kubisza rezultatem świadomego założenia. Kubisz pisze gwara, bo chce nią pisać, chce wypowiedzieć region załziański językiem tamtejszego ludu.

Jedynym wyjściem było w takim wypadku stylizowanie gwary, wykorzystanie jej w sposób mniej więcej analogiczny do tego, w jaki Sienkiewicz wykorzystał w „Trylogii” polszczyznę siedemnastego wieku, tworząc fikcyjny właściwie język, z punktu widzenia historycznej wiedzy może mocno wątpliwy, ale najzupełniej przekonujący jako kreacja artystyczna. Kubisz starał się zachować jak najdalej posuniętą wierność wobec gwary Zaolzia, ale nie chciał jednocześnie rezygnować z przyswojonej sobie tradycji literackiej. Rezultatem tego jest szpikowanie wierszy gwarowych, niby to oddających życie duchowe chłopów i górników śląskich zwrotami takimi jak np.: „I zagwidłol nocom czar-nóm, tajemniczóm i upiornóm...” „Cyr-pini wzrosło pod kose, dozdrzało w żniwo cinyżarem...” „Cisza drzymała na błyskawic grzbiecie...”. Bardzo żywo przypominają się tu takie osobliwości literackie jak np. dokonany przez Stanisława Witkiewicza przykład „Kwiatków św. Franciszka” na gwara góralską. Koncepcja artystyczna i językowa „Przednówka” jest zasadniczo chybiona: w książce tej przeplatają się ze sobą bezładnie treści psychiczne przynależne do odrębnych kręgów kulturowych, co daje wrażenie artystycznego chaosu i braku konsekwencji myślowej.

Jeżeli chcemy dotrzeć do tego, co w „Przednówku” jest żywe i cenne, co czyni tę książkę pozycją godną uwagi, musimy odsunąć na bok to wszystko, co w tomie tym jest „literaturą”. Literacka bowiem tradycja Kubisza — to Młoda Polska, to przede wszystkim Wyspiański i Tetmajer. Kubisz staje się przekonujący jako poeta dopiero tam, gdzie wyzwala się z młodopolszczyzny i deklamatorskiego patosu, gdzie próbuje znaleźć ton własny, gdzie zaczyna być surowy i niepokojący — ale zarazem poetycko świeży:

*Mgły sie toczóm pańskim rżyskim,
Miesionc chybie po nich pyskym —
Miesionc gębe rozdziawuje,
Umrzył kowol — już nie kuje...*

W takich dopiero fragmentach gwara staje się systemem językowym jedynym i niezastąpionym, dając efekty niemożliwe do osiągnięcia w języku literackim. Czy możemy np. wyobrazić sobie następującą strofę jako napisaną „normalną” polszczyzną:

*Jarganki dzierzym w gębie,
Pod dzikim stojym dębym —
Szuści pieśniczka, jargo —
Płacze pod mokróm wargóm!*

Fragmenty takie świadczą najlepiej, że Kubisz tkwi mocno w życiu duchowym swego regionu i skoro tylko wyzwala się od wtórnej literackości, umie to życie wyrazić w sposób mocny i przekonujący.

Nie liryka jednak jest dla Kubisza właściwszym rodzajem literackim. Najlepiej wypadają u niego utwory o charakterze bardziej epickim, jak np. świetny obrazek rodzajowy „W Gutach jest muzyka”, czy ów słynny, wielokrotnie przedrukowywany fragment wiersza „Co to młody gorol prawil...” zaczynający się od słów:

*Tam pod lasym na buczynie,
Kasek świata we mgle płynie. —*

Kubisz posiada silny zmysł rzeczywistości, jest poetą konkretnym i dlatego mimo pewnych dłużyzn i słabizn jak mocno odcinają się utwory takie jak „Rebelija goroli w Mostach”, „Hawiryz Karel Klimsza”, „Jutrznia w Gruszowie”, oparte na materiale zdarzeń rzeczywistych, od utworu takiego np. jak „Był we Frydku... był grof srogi” stylizowanego na romantyczną balladę (ale w neoromantycznym sosie à la Tetmajer).

Mimo wszystkich swoich wad i niedociągnięć „Przednówek” jest książką żywą. Żywą i w oddziaływaniu jako całość — jednolitą. Zapewnia jej to w ostatecznym rezultacie nie język, ale wewnętrzny nurt żywiołowej pasji przesycającej tę książkę. Miłość, nienawiść, gniew, rozpacz — te wszystkie uczucia, które leżą u podstaw każdej twórczości będącej czymś więcej niż popisem rzemieślniczej zręczności, które przepajają dzieło sztuki najgłębszą treścią ludzką, humanizują je — kipią wprost z twardych, chropawych strof „Przednówka”.

I oto największy niezaprzeczalny walor tej książki: zamknęła ona w sobie tragizm losów Zaolzia, tragizm kraju oderwanego od macierzy. Strofami Kubisza przemawia pewna zbiorowość, przemawia świadomość ludzka, która do dna poznała smak krzywdy.

Pozornie jest to sens książki pozaliteracki, ale wczytawszy się głębiej w „Przednówek” z łatwością się zorientujemy, że właśnie problemy krzywdy społecznej i narodowej były momentami wyzwajającymi żywioł poetycki, zmuszającymi autora do wypowiedzi. Rzecz w tym, że Kubisz nie skomplikował sobie zadania, że szukał wypowiedzi najbardziej bezpośrednio, zamiast szukać poetycko najskuteczniejszej. W każdym bądź razie „Przednówek” jest w literaturze naszej pozycją odrębną i ważką, bowiem wniósł do niej ton własny i jedyny. Można sprzeczać się o literacką rangę książki Kubisza, ale trzeba przyznać, że bez niej literatura polska byłaby uboższa o jedno nader oryginalne zjawisko.

*) Przedruk z „Ateneum” nr. 1, rok 1938, str. 162.

Czesław Jastrzębiec-
Kozłowski

»MIREJO« — POEMAT

Prowancja — jest to obszerna krajina we Francji południowo-wschodniej; stolicą jej jest Aix. W wiekach VII—VIII Prowancja została najechana przez Saracenów. Od roku 1032 należała ta krajina do Cesarstwa, następnie do hrabiów Barcelony. Ostatecznie przeszła do korony francuskiej dopiero w roku 1481.

Język prowansalski należy do rodziny romańskich, tj. pochodnych od łaciny. Od francuskiego różni się ona bardzo — znacznie więcej, niż na przykład rosyjski od polskiego; zbliżony jest do języka, jakiego się używa w hiszpańskiej prowincji Katalonii. Dla Francuza, znającego tylko język literacki, jest on zgoła niezrozumiały.

Po przyłączeniu do Francji, właściwa kultura Prowancji zaczęła obumierać, ulegając stopniowo wpływowi daleko żywniejszego i bardziej twórczego ducha umysłowości francuskiej. Język, ongi tak bujnie i pięknie rozkwitający, zaczął powoli spadać do stanowiska narzecza miejscowego. Cała inteligencja prowansalska sfrancuziała. Dawna mowa trubadurów, delikatnych i wytwornych poetów, stała się gwarą, używaną wyłącznie przez lud.

Jednak w połowie ubiegłego stulecia następuje zwrot. Kulturalniejsza część społeczeństwa prowansalskiego, aczkolwiek ukształtowana w duchu francuszczyzny, zdaje sobie sprawę, iż szkoda by było, aby tak piękne narzędzie, jakim jest język prowansalski, powoli przestało być używane. Rodzą się tęsknoty do minionej świetności kulturotwórczej. W roku 1854 kilku uzdolnionych młodych poetów rozpoczyna tak zwany ruch felibrystyczny. Felibre można by przetłumaczyć po polsku na „niegorób” czy „ksiegopis”. Poetami tymi byli: Aubanel, Brunet, Mathieu, Mistral, Roumanille, Tavan i Cléra. Postawili sobie za cel odrodzić język i literaturę prowansalską. Dzięki znakomitym swym talentom, wywarli szeroki i głęboki wpływ. Związek ich przetrwał długo, po ich śmierci znalazł sobie godnych dziedziców, i podobno dziś jeszcze działa w całej Francji południowej — choć nie wydaje się zresztą, by piśmiennictwo prowansalskie miało istotne widoki samodzielnego rozwoju na przyszłość, wobec o tyle silniejszej literatury francuskiej.

Najwybitniejszym spośród „felibrów” jest niewątpliwie Fryderyk Mistral, poeta ludowy, poeta - chłop. Urodził się w roku 1830, jako syn zamożnego gospodarza. Od dziecka dawał dowody wielkich zdolności. Ojciec, ulegając ówczesnej modzie, chciał koniecznie zrobić zeń „miejskiego pana” — t. zn. inteligenta, który by na całe życie porzucił wieś, jej sprawy, jej zainteresowania. Szczytem marzeń starego Mistrala było, żeby Fryderyk został „panem adwokatem”. Wysłał go do szkół i na uniwersytet. Pilny Fryderyk uczył się doskonale, posładł grekę, łacinę, po czym, gdy ojciec umarł... wrócił na wieś do owdowiałej matki, objął gospodarkę i postarał się czym prędzej zapomnieć o istnieniu języków klasycznych. Natomiast rozmiłował się całą duszą w języku i poezji swojej ścisłej ojczyzny — Prowancji. Niebawem zaczął sam próbować sił w dziedzinie twórczości poetyckiej. Pisał w wielkim skupieniu ducha, odosabniając się całkowicie od ludzi, zgoła nie myśląc o przyszłych czytelnikach. Jako 25-letni młodzieniec napisał dzieło, które miało szeroko rozstawić jego imię: niewielki poemat sielankowy „Mirejo”, później, z biegiem lat, pomazany, wygładzany, rozszerzany aż do pokaźnych rozmiarów, jakie ma w ostatecznej redakcji.

W roku 1861 doczekał Mistral niebawemego zaszczytu: za jego „gwarową” Mireję Akademia Francuska przyznała mu nagrodę.

Znakomity poeta francuski Lamartine opowiada, że w roku 1859 wpadł doń któregoś dnia rozentuzjuszony do nieprzytomności Adolfe Dumas, również Prowansalczyk rodzimym. Już od progu krzychał, szeroko gestykulując, że przybywa jako zwłastun radosnej nowiny, że stał się cud, że się narodził wielki, ba, największy poeta epicki naszych czasów!

— I któż to jest? — zapytał Lamartine — dosyć sceptycznie.

— Fryderyk Mistral, mój sąsiad wiejski! Zobaczysz, co to za geniusz!

— Ileż ten twój geniusz liczy sobie lat? — badał ostrożny Francuz.

— Dwadzieścia pięć!). Jutro ci go przed-

*) Właściwie w roku 1859 Mistral miał już skończonych lat 28.

stawię. Zaprosz nas na obiad. Widzę, że jesteś nieufny. Ale to nie potrwa długo. Mistral przeczyta ci swą wiersze, a będziesz więcej oczarowany, niż ja.

Ta przepowiednia nie bardzo się sprawdziła — na razie. Najajutrz Adolfe Dumas wprowadził do Lamartine'a młodzieńca przystojnego, znakomicie zbudowanego, ubranego ze skromnym wdziękiem. Młodzieniec zachowywał się uprzejmie, poważnie, z wielkim poczuciem godności. Mówił niewiele, wolał słuchać. Gdy go poproszono o odczytanie

jego wierszy, nie ośmiągał się wcale, nie okazywał ani przesadnej ambicji, ani też najmniejszego bodaj zakłopotania. Wiersze spodybały się Lamartine'owi, wcale jednak nie wywołując jego entuzjazmu. Dumas nie był tym bynajmniej stropiony; zdawał się mówić sobie w duchu, że co się odwiecze, to się uciecze.

Jakoż w rzeczy samej — „nie uciekło”! Na odchodnym Mistral zostawił panu domu do przeczytania swój poemat pt. „Mirejo”. Lamartine przeczytał — czytał całą noc,

odczytywał cały następny dzień... i w swej admiracji prześcignął Dumasa!

Powiada Lamartine:

— Narodził się wielki poeta epicki! Poeta, który z narzecza, od dawna już nie uprawianego literacko, potrafił stworzyć dostojny język klasyczny; tak jak Petrarca stworzył język włoski. W pozali tego żyje cała Prowancja — jej prace, jej ubożność, jej nędzna uczuciowość, jej przesady, jej głęboki, choć nie deklamatorski patriotyzm.

FRYDERYK MISTRAL

Przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

M I R E J O

„WALKA” — FRAGMENT Z PIEŚNI PIĄTEJ

Otóż, mówię, któreś odwieczery,
na drożynie, która przez Krau bieży,
Uriasz z Wickiem spotkali się. — Grom
bije w pierwsze napotkane drzewo,
kiedy burza nadciąga z ulewą.
W takich słowach lutym swoim gniewom
upust tedy dał krowiarz: — „A tom

pyśnie trafił! Tyżeś, obdartusie,
.....synu, urzekł Mirejusię?
Tak czy owak, skoro idziesz tam,
to jej powiedz ode mnie, że o nią
i jej busię tyleż dbam gawronią,
co o łachy, które grzebił ci chronią!...
Słyszysz, piękny gachu ślicznych dam?”

Drgnął Wincenty. Z samej głębi ducha
Z biciem serca płomień mu wybucha
jak z pasterskich na równinie wiatr.
— „Guza szukasz? Ochota cię bierze,
bym ci, chamie, przetrzącił paclerze?”
ryknął strasznie, jak gdy płowe awierzę,
nim na zdobycz runie, węższy wiatr.

Aż mu nozdrza drgają ze wściekłości.
Uriasz na to: — „Porachujesz kości,
jak cię prasnę o ziem, psia ci mać!
Tyż to będziesz mi groził, chucherko?
Dobryś na to, by dźwigać puzderko,
babom nosić ze studni wiaderko,
pleść koszyczki, pod kościołem stać!”

— „Właśnie! — podjął Wicek: — tak ci szyję
skręcę, jak się koszyk z łozy wije
lub jak głupią uśmierca się gęś.
Wiej, wiej, tchórzku, i to wiej znienacka,
bo już potem — na świętego Jacka! —
nie uciekniesz, gdy skosatujesz placka,
który da ci ta żelazna pięść!”

Rad, że złość swą na kimś wyrzucić może,
podjął Uriasz: — „Chwileczkę, nieboże!
Fajkę sobie wypalimy w pierw”.
Dobyl kapciuch z kozłej skóry, duży
czarny cybuch, który wnet zakurzy,
i w dym patrząc, co się miękko smuży,
rzekł wzgardliwie, wśród pykania przerw:

— „Czy ci nigdy, wędzony ty śledziu,
nie śpiewała o Jasiu-Niedźwiedziu
twoja matka-Cyganica, co?
Kiedyś, wołów dawszy mu dwie pary,
orać ziemię posyła go stary.
A wtem Jasio wyprostował bary
i lekkuchno, niby słomy żdźbło,

na sam czubek wysokiej topoli
śmignął jeden, drugi sprzężaj woli,
z nimi razem miotnął też i ptuj. —
Ze topola tutaj nie wyrosła,
dziękuj Bogu”. — Wicka złość uniosła:
— „Ty byś nie śmiał z miedzy spędzić osła,
w gębieś tylko mocny, dalibóg!”

I jak wyżeł, czujnymi oczyma
śledząc zwierza, w bezruchu go trzyma,
tak na wroga baczyl młody zuch.
— Cóż, drażalu? Sam ze swej chabety
zleasz, czy też mam cię zdjąć? O rety!
zmiękłeś jakoś, gdy trzeba niestety
czynem dowieść, kto lepszy z nas dwóch?”

„Drwinek ci się zachciwca, jolopie?
Jak burzanu wiecheć, tak cię skopie!
Chcesz wycierać swój paskudny pysk
kwiatem panien, Mireję? Dla Boga!
Ja, słabeusz, nędzny powsinoga,
sprawię, żeby twa obelga sroga
w krwi się twojej pogrążyła bryzg!”

— „Cie go! — wrzasnie skotarz. — A, ty łachu,
ty cyganie, ty kuchenny gachu!
Niech no zejść na ziemię, do stul...“
Na bok lecą kurtki i rzemyki,
pod nogami chrzuszczą im kamyki;
spluną w garście i niczym dwa byki
obaj runą na siebie bez tchu.

Gdy na stepie słońce żarem pali,
dwa buhaje zobaczyły w dali
ślad szeroki i jedwabną sierć
młodej krowy. Grom się w nich zapala,
jurna żądza w żyłach się przewala,
krwawym okiem lupią na rywala,
wzajem łakną zadać sobie śmierć.

Drga im skóra od tajonej sily...
Wzięły rozpęd — i już się zderzyły.
Dudnią razy spuszczonego łąba
o łeb wroga. — Mordercza i mężna
będzie walka, bo to niebosiężna
moc Amora wdała się; potężna
miłość obu zapasników zga.

Tak się wodzą dwaj szermierze nasi,
tak się tłuką, wzajem krwi swej lasi.
Uriasz pierwszy dostał pięścią w nos,
lecz gdy Wicek chciał poprawić mu go
i już pięścią zamierzył się drugą —
ów ogromną łapą, jak maczugą,
w twarz Wickowi tęgi zadał cios.

FRYDERYKA MISTRALA

—Włos mi już bieleje, a od młodości śle-
cze nad księgami. Poznałem i podziwiałem
wszystko, co poezja wieli narodów stwo-
rzyła najpiękniejszego. Wśród autorów, któ-
rych ukochałem, są geniusze niebotyczne.
Czemuż żaden z nich — żaden, powtarzam,
z wyjątkiem jednego tylko Homera — nie
zdołał tak głęboko mnie wzruszyć, tak prze-
jaść na wskroś, jak ten skromny poeta
wielki?

— Wiedza, co bym uczynił, gdybym był
bogaczem, albo gdyby mię powołano na sta-

nowisko ministra oświaty? Kazałbym odbić
„Mireje” w sześciu milionach egzemplarzy
i rozstałbym te księgi do każdej chłopskiej
chaty. Oto bowiem literatura, jakiej wieś po-
trzebuję: czystość, prostota, piękno bez
ozdobności, czułość bez mizdrzenia się, nau-
ka prawości charakteru, nauka rzetelnej
szczerości wobec życia i siebie.

Właściwy watek poematu jest arcyprosty.
Młodziutka Mirejo, zamożna córka gospodar-
ska, zakochana się — z gotową wzajemno-

ścią — w ubogim koszykarczyku. Sprzeciw
rodziców, stanowcza postawa dziecięcia... oto
smutne zakończenie wiosnianej miłości... oto
poprawdnie i wszystko. Ale watek ten opar-
to na przebogatym materiale opisowo - poe-
tycznym.

Faktura Mistrala nie jest jednak bynaj-
mniej realistyczna w dzisiejszym tego słowa
pojęciu. Mamy tu wyraźną przewagę „sle-
lankowości”; ujemniejsze, twardsze, ordy-
narniejsze strony życia ulegają rozmyslnemu
zatuszowaniu, co nieraz sprawia wrażenie

pewnego przesłodzenia. Jaści, dzisiaj lubzy
tak żaden poeta nie pisał. Ale — *dotingu tom
pora!* należy rozróżniać czasy. Nie bądź-
my szowinistami dzisiejszości, umiejmy so-
bie przyswoić twórcze piękno epok minio-
nych.

Nie widzę potrzeby wdawania się w
szczegółowy rozbiór utworu, który czy-
telnikowi naszego tygodnika nie jest jeszcze
znany. Wolał tylko zwrócić uwagę na to,
w jak znacznej mierze Mistral czyni zadość
wymaganom, które i dzisiaj słusznie można
postawić twórcom poezji dla wsi. Zacytuje
Cierniaka:

„Lud jest grupą społeczną młodą, jeszcze
niewzrosłą, znajdującą się dopiero przy po-
rątku swego żywotyca, stąd może tu być
mowa o młodości, entuzjazmie, walce, bo tu
daleko do zmięczenia, daleko do rozkładu i
śmierci. Zjawia się potrzeba i pewnej wizji
przyszłości i bohaterstwa. Ale ta treść musi
być budująca, dźwigająca i krzepiąca, a
więc zdrowa, daleka od przestępczości, roz-
pasania moralnego, czy taniej ciekawost-
ki. Potrzebna jest i wesołość, ale wesołość
bez zgłizny. Chłop interesuje się zagad-
nieniami społecznymi, państwowymi i w ogó-
le ludzkimi, ale niechże te zagadnienia będą
podane bez truchliny i w formie czystej. I
miłość między mężczyzną a kobietą winna
być treścią dramatu ludowego, bo i to uczu-
cie żyje w chłopie, ale niech nie będzie te-
go karmelkowego „gruchania” lub ordy-
narniej czy kulturalnie wyrafinowanej zmy-
słowości”.

„Postacie winny być wyraźne, okraśla-
jące się raczej w działaniu niż mówieniu,
bez nadmiernych labiryntów psychologiz-
nych — i odwrotnie, bez zupełnego wypra-
nia z jakiegokolwiek pasji, namiętności”.

— Jakoż czytałem w książce pewnego wy-
trawnego znawcy naszych stosunków wie-
jskich, że chłop, aczkolwiek w żywej mowie
chętnie i często nadużywa wyrazów gru-
bich, ordynarnych, — drukowane słowo sza-
nują tak bardzo, że mierzi ich i odraża po-
sługiwanie się brzydkimi wyrazami w pi-
śmiennictwie.

Ciekawe są wywody L. H. Morstina na
temat głodu wielkiej poezji u chłopów pol-
skiego: *)

„Zrobiłem eksperyment, wystawiając na
wsi polskiej „Antygonę” Sofoklesa przed ko-
łumnami starego pałacu. Władzami byli go-
spodarze wiejscy i robotnicy rolni (a. wy-
konawcami ich coby). Lży w oczach tych
władzów i zaparty oddech z jakim wysłu-
chali tragedii od początku do końca świad-
czył o niezniszczalnej przez wieki wielkiej
potędze genialnej poezji”.

I jakże słusznie dodaje:

„Należy tylko pamiętać o tej naczelnej
zasadzie: nie obniżać tonu, nie zmuszać twór-
ców do zastosowania się do gustów szero-
kiej publiczności, a tylko publiczność przy-
zwyczajając do sztuki natchnionej i szczyt-
nej”. Chłop bowiem „byłby obrażonym
i urażonym w swoim poczuciu równopraw-
nienia, gdyby dla niego dawano inne sztuki,
a inne dla elity umysłowej”.

Przytoczyłem te słowa, ponieważ podkre-
ślają one konieczność daleko żywszego niż
dotąd zainteresowania się inteligencją wie-
jskiej sprawami wsi. A sądzę, że takie wie-
jskie poematy jak Mirejo mogą się w pew-
nej mierze do tego przyczynić.

Czy możliwe jest przeprowadzenie para-
leli: między naszym ruchem „zakopiańskim”
(Chałubiński, Witkiewicz, Temajer) czy jest
on historycznym odpowiednikiem francuskiej
mody „prowansalskiej”?

— Zapewne, niejako analogie zachodzą
istotnie. Ani tu ani tam — nie ma cienia se-
paratyzmu politycznego. Felibrowie tak sa-
mo czuli się prawnymi Francuzami, jak nasi
„Zakopianie” — Polakami. To nie separa-
tyzm, to tylko regionalizm. — Jednak róż-
nic jest więcej, niżli podobieństw. Przede
wszystkim, gwara zakopiańska jest prawie
całkowicie zrozumiała dla każdego Polaka,
gdy prowansalszczyzna nie zrozumie nieje-
den Francuz, znający tylko swój język lite-
racki. Po wtóre, u nas chodziło w zakresie
językowym o to, by z gwary czysto ludowej
uczynić mowę literacką. Tam — nawiązano
do zapomnianej, ale świetnej w swoim cza-
sie kultury językowej już istniejącej.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

*) W artykule pt. „Teatr antyczny, a my”.

— „Masz, masz, masz tu!” — „Skosztuj tego bobu!”
„Smaczna sójka!” — słyhać ze stron obu. —
„Licz, gamoniu, który-m ci już trzon
ze szcęk wytłuki!” — „Raczej ty, bękarcie,
rachuj, które ci juchy półkwarcie
wytoczyłem, gdy ze skóry zdarł cię
tego małego mego palca szpon!”

To przysiądą aż im trzeszczą piudry,
to podskoczą — i nuże na udry!

Bark się z barkiem, łokieć z łokciem zwiódł.
ramię kurczy się, zwija, wypręża
jak gdy kijem podrażni kto węża,
żyły tańczą, żrenica się swęża,
mięśnie tydek napina im tryd.

Teraz w długim zastygli bezruchu.
Jak gąsiątko ciężkie wśród łopucha
bije skrzydłem, ci dwaj, stojąc wprost,
robią tylko bokami. Ich bary,
przeciwważąc wzajemne ciężary,
nieruchome są jak te filary,
co Gardoński wielki dźwierzą most.

Rozłączyli się — i już na nowo
pięści młockę podjęły miarową,
do moździerza znowu spada tłupek.
Już w robocie paznokcie i sęby,
Jakie straszne ciosy grubokłębey
sypie Uriasz! Jakże mu do gęby
Wicek rauca się, na miły Bóg!

Moc mładząca ma kulak pastucha;
ale zwinna błyskawiczność rucha
z Walabręgi, by stokrotny glaz
wypuszczany z procy, w oczach miga.
Tu, tam, owdzie nasz Wincenty śmiga,
że nie chłopiec zda się to, lecz tryga.
„Masz, hultaju, skończmy z tobą raz!”

Lecz gdy w tył się odgina, by jeszcze
mocniej kropnąć, silacz go jak w kleszcze
chwytą nagle za boki, i już
prowansalskim sposobem za siebie
(jak gdy zboże lopatą się grzebie
i przegarnia) cisnął go... Na glebie
pól — Wincenty wyrznął twarzą w kurz.

— „Ryjesz mordą ziemię? Mój robaku,
jeśli tak ci brudny kurz do smaku,
to się nie wstydz, śmiało pij i żryj!”
— „Stul paszczkę, ty jasna cholero!
Kończą walkę tray ciosy dopiero!” —
huknął Wicek, nienawistną szczerą
plonąc, milion czując w sercu żmij.

Bo szlachetna duma żga jak kołec...
Albo pomścić niesławę, lub poleć!
Chłopak zerwał się z ziemi jak smok,
z niesłychaną na swój wiek odważą
znowu przypada do dzikusa, pcha go
i z rozmachem na pierś jego nagą
spuszcza kulak, by morderczy tłok

Ów się zachwiał... maca ręką, gdzieby
mógł szerokich pleców oprzeć źleby;
lecz z zamglonych oczu jego znać,
że wiruje przed nim okolica;
pot mu zimny wystąpił na lica...
I z łoskotem, jak w gruzy — dzwonnica,
wielki Uriasz padł na landy gładz!

Landa milczy. Na piersi olbrzyma
zwalonego — młodzik butnie trzyma
swą zwycięską stopę. Jeszcze, wbrew
tym uciskom, cielsko się pastucha
chee poderwać, leć, jak bycza jucha,
z ust i noszdry strumieniem mu bucha
umęczona i czarniawa krew.

Trzykroć sili się, choć mniej już dźwiersko,
stracił wraź nożę koszykarską,
lecz po trzykroć Ambrozego syn
znow obala go i stopą tłoczy.
Tamten błędne w ślip wytrzeszcza oczy,
dech ze świstem łapie, pianę toczy,
rozdziawiwszy gębę niby lin.

— „Snadź nie wszyscy — wołał mu Wincenty —
są ci braćmi, bandyto przeklęty!
Wróc do swych bydłatek i mów
o mej pięści krowom i buhajom!
Ze swą harbą Kamarę zaznajom,
rozgłoś, jak się tu szczęści hultajom,
kryj swe guzy wśród wóldw i krów!”

Co gdy wyrzekł, puszcza dzikie zwierzę. —
„Strzygąc tryka, postrzygacz go bierse
między oba swe kolana; lecz,
skoro tylko zdjął mu ciepłą suknię,
to go dłonią w zad szeroki huknie
i wypuszcza. — W pasji Uriasz mruknie
jakąś kłatwę, wstał i jedzie precz.

Myśl upiorna pędził go przez pola.
Miota brudne wyzwicka. Lecz hola,
czego szuka wśród panowca krzów,
na kulbace rozparzyszy się tucznie?
Aj! przystanął... Aj, aj! Straszna włócanie
ponad głowę sobie wznosił buńczucznie
i na Wicka w skok naciera znow.

Tracąc wszelką ratunku nadzieję,
gdy grót ostry przed nim tuż widnieje,
pobladał biedny Wincenty jak trup:
nie by śmierci się bał, jako żywo,
lecz mu szpetnie na duchu i ckliwo,
że dał zwieść się i że zed zdradliwą
tamten robi szybkością swój łup.

— „Zdrajco, śmiażebys!” — wyszemrał ledwie.
I z męczeńskim poddaniem obiedwie
zwiesił ręce... Z dała, w kępie drzew
dwór kochanki bieleje w zamroczu...
Tam z najczulszą tkliwością wbił oczy,
jakby mówił pasterce uroczej:
— Patrz, Mirejo, dla cię oddam krew!

W tej wyroczonej chwili dzielne serce
o najmiłszej marzy, o pasterce...
— „Zmów modlitwę! — jak drapieżny ptak
kracze Uriasz; — nie ujdiesz tym razem!”
I przebiła go srogim żelazem
bez litości. Z głośnym jękiem na ziem
koszykarczyk obalił się wznak.

Cicho leży. Wzdłuż nóg jego — mrówki
rozpoczęły już swoje wędrówki.
Zbój tymczasem puścił konia w cwał
i lubował się w miłym obrazku
swoich marzeń: — „Przy księżycu blasku,
dzisiaj w nocy, na skrwawionym piasku
bieszczadując, wilk się będzie śmiał!”

PRZEZ GESTE jak dno sotka galezie so snowego zagajnika widzę zakręt drogi leśnej. Na tle głębokiego cienia rzucanego przez duże drzewa królujące wzdłuż stromym zboczem jest biała jakby przysypiana popiołem. Jest coś rażącego czy kłócącego się w tym zestawieniu — ciemna ziemia i popielata biel. Pachnie żywica spływająca po korze sosen przezroczystymi łzami. Ten sam zapach wydają cieliste złupieżone bałki rosnących świeżo podwór młodej sośniny.

Jest ciepło. Bliżsi nas świat tonie w promieniowaniu duszącego gorąca spadającego z nieba z każdą godziną rozkwitającego dnia. Trzaskają umieszczone na samych szczytach sosenek półwierzchy dość jednostajną melodię swoich ptasich hymnów nieprzetłumaczalnych na ludzki język. Od czasu do czasu wionie po wierzchołkach i wysuniętych ku górze gałęziach jakiś zblakany powiew letniego wiatru. Wówczas między sosenkami odzywa się tajemnicza barba leśnego szumu.

Leżymy zaczajeni w dziewięciu wzdłuż drogi. Tedy dziś ma przejeżdżać samochód gestapo z więźniami na egzekucję. Niedalekie wydmy piaszczyste stanowią ich ulubione miejsce straceń. A choć przyjeżdżają inną drogą i odjeżdżają inną dla ostrożności, jednak możliwość przejazdu ich tedy jest duża, bo obciążony ofiarami samochód z innych piaszczystych dojazdów wykopalby się z trudem lub nawet w nich utonął.

— Psakrew, nie ma! — narzeka półgłosem „Miziol”.

— Nic takiego, czekamy — poskrabiam jego niecierpliwość.

Nasz wywiad z terenu gestapo dał znać, że „w tych dniach coś będzie”. Na skutek tego wszystkie prawie miejsca rozstrzelaniw zostały obstawione przez odpowiednio uzbrojone i pouczone patrole. Będziemy pilnować dziś, jutro i pojutrze. Aż nam dadzą znać, żeby zejść ze stanowiska, albo jeśli gestapo nadzieje się na nas.

Przed nosem na obumarlum igliwiu sosnowym rozpostarłem swoją brudną chusteczkę od nosa, na niej położyłem parabelum. Nie lubię piasku w broni. Zgrzyta drażniac i trzeszczy — pomijając już sprawę funkcjonowania zamku.

Inni poszli za moim przykładem. „Miziol” na rzucanej wiatrowce ułożył nabożnie stena — leży przed nim jak długa ciemna ryba. „Wiatr” w czapce przed pierściami ulokował oba gamony — wyglądają jak jabłka zerwane w ogrodzie na nielegalnym wypadzie.

Rozbiliśmy się na trzy grupy. Nasza środkowa atakuje pierwsza. Lewa trójka i prawa ubezpieczają, w razie gdyby samochód chciał uciec po nieudalnym pierwszym ataku do przodu lub wycofać się do tyłu.

Jest to eskapada z gatunku tak zwanych średnio szaleńczych. Bliskość miasteczka, bliskość załogi wojskowej, bliskość żandarmerii, policji i sonderdienstu jest groźna, ale to właśnie nadaje naszemu przedsięwzięciu pewne szanse powodzenia.

— Oj chyba usnę... — narzeka „Wiatr”.

— Spróbuj, bracie — groźbę mu żartobliwie.

Odrzósł nasz kryty jest rzadkim zagajnikiem i podrosłymi już sporo żywymi. Przy pochyleniu można się w nim zupełnie dobrze skryć. O to możemy być zupełnie spokojni.

— Tylko czy tedy pojedą? — oto jest pytanie.

W spokojnym czasie przygotowania można było planować, przewidywać, mierzyć. Jeżeli będzie tak, to zrobi się to, a jeśli będzie to, to trzeba zrobić tak. Łatwa napozór więc logiczna między skutkiem i przyczyną daje prosty łańcuch zdarzeń jak odwijająca się nić z kłębka.

Najpierw będzie samochód. Potem alarm obserwatora. Potem nadjeżdżanie.

Pierwsza trójka przepuszcza.

Drużyna atakuje...

Najpierw będą gamony.

Drużyna biega steny.

Parabele stanowią cokolwiek przestarzały rekwizyt wypełniający lukę — „aby tylko było do ręki co wziąć”.

Czuję w sobie całym rozleniwienie i senność: rozlewają się po ciele osłabiająca fala, przenikająca każdy włókno mięśni i skóry. Szliśmy całą noc zroszonymi rowami i po młokach drózek polnych. Nasze ubrania są mokre i schną. Skóra na kolanach cisnących do ziemi zmoczona nogawki lekko szczypcie: z chłodu, z wilgoci. Teraz by się spało!

Niepewność zadania, brak bezpośredniego zagrożenia i rozpatrzanie w szczegółach otaczającego nas świata — nastroiło mnie cokolwiek beztrzesko. Ostrość spostrzeżenia zmalała. Napiecie uwagi zelżało. Dwie godziny takiego leżenia na ziemi swoje znaczą.

Patrzę przed siebie, obserwuję cel — zaciemnioną drogę, ale jednocześnie myśl mi coraz częściej ucieka na łazęgi niezasobordynowana, rozpieczętująca, rozproszona na skomplikowaną wielość zdarzeń z różnych poziomów i czasów, o różnych barwach i smaku. Ale wszystko wokół mnie. Ja stanowią centrum koła i w obrębie mego dotychczasowego życia zamykają się promienie całego legionu zdarzeń drobnych, dużych, — dawnych, świeżych. Ich obraz jest pełny, ale oderwany od tła, jak gałąź pływająca po wierzchu wzburzonej rzeki. Przedmioty obecne sobie, niby daleko głęboka struna ukrytego nurtu zależności.

Oto co:

Moja metryka — urodzony siedemnastego października 1912 roku we wsi Stachowo Niskie — z ojca Tomasza i matki Agnieszki z domu Bakowskiej — Zygmunta Tobiaszka... Ale co tu ma nazwisko? — A jednak ma. Więc tak ona brzmi (metryka urodzenia): Zygmunta Tobiaszka, syn Tomasza i Agnieszki z domu Bakowska urodzony dnia siedemnastego października 1912 roku we wsi Stachowo Niskie, powiatu...

I znów to Stachowo — droga idzie (nie, kładzie się) po wygiętych polach i kończy się

Teodor Goździkiewicz

RUMIENIEC HISTORII

(z przygotowanego do druku zbioru opowiadań wojennych p.t. „Znaki czasu”)

miskowatym sławem mającym zawsze rudą, zbeltaną wodę. A dokola niej nastawiony był jak, niby dla żartu tłum chłopskich chałup. Celują w brudną powierzchnię wody pojedyncze oka szczytowych okien wypełnionych czerwonymi plastrami kwiatowych pelargonii. Tak budowały osady za czasów Ziemiaństwa; bezładny zbiór chałup wokół niewielkiego jeziora. Postępowały niżej i niżej jak ubywało wody, a przybywało ziemi.

To znowu ranek — słońce wspięło się ledwie nad ziemię. Jest czerwone, okrągłe i duże i zupełnie nie grzeje. Nad światem tła się nie wyschnięte jeszcze po nocy opary mgiełki. Oczy pieką z niewyspania, a cało jest mdłe i nieposłuszne. Spekanie od rudawek łąkowych nogi szczytów i bóla. Oddech krowie zamieniają się u pyska w siwe ruchome wiechy.

niowych. Tylko zamiast patki mamy automaty i wybuchające z piorunującą szybkością bomby.

— Nie z tego dzisiaj nie będzie — ilustruje przypadkowo mój nastrój „Wiatr” — te skur wysyny nie przyjadą... Ja mam już takie psie szczęście...

„Wiatr” może kłąć. Pokłócił się z bratem o majątek i pobł. Brat był mściwy. Udał się do żandarmerii i oskarżył swojego rodzinnego, że „po nocach kasz łazi”. „Wiatr” miał się na baczności i to go ocałilo przed rękami gestapo. Żandarmerii nie zastał go w domu. W oddziale stała klątwa: „i tak tego cholere zabije i tak zabije” — odgrażał się mocno. Był spokojny, zdecydowany i najlepiej rzucał gamony. Jego celność weszła u nas jak gdyby w przyszłość — rzuca jak „Wiatr”.



Matka wychodzi z obory, wyciera o próg pobrudzoną w krowim nawozie nogę i mówi: — Tam je Zygmunta przypilił, niech trochę pojedzą koło południa po brzegach łąki.

Jestem senny, zły, opryskliwy: te krowy i krowy.

— Tak, akurat, jeszcze co... — uważam zlecenie matki za chęć nieprawidłowego honorowania krów i przeoc wstawiam się zdecydowanie teraz, żeby jednak przed południem, kiedy senność pierzchała przez nogi się rozbiegały, spędzić krowy na brzegi pastwiska, gdzie gesta szczołka białej drobnej koniczyzny jadła im się chętniej i sporzej.

Albo moja matura — rząd piomowy nauk „wymustrowanych mądrości”, jak mówiliśmy, i tuż zaraz na prawo mój do nich stosunek widziany oczyma moich nauczycieli. Tak, to prawda, ludzie muszą ważyć, mierzyć, szlifować. Bez tego ani rusz. Więc nauki matematyczne — dostatecznie (zaledwie). Nauki humanistyczne — bardzo dobre (aż!). Na co to się myśl kusi? O co zabiega? Przy czym się trzusi? Czego chce?

Człowiek... człowiek... oto co.

Teraz dyplom magisterski — moja praca z historii (o, ukochany przedmiot!) była przyjeta, była drukowana, narobiła niejakię wrzawy. „Rumieniec historii” — to jej tytuł. Podchwycenie tematów od strony najmniej spodziewanej, błyskotliwość formy, śmiałość argumentowania... — no to wszystko, co się składa na dobrą, magisterską pracę. Objąłem w niej dzieje ludzkości od czasów Hammurabiego do czasów wojny japońsko-chińskiej. Przez Dariusza, przez Cezara, przez Karola Wielkiego, przez kulturkampfi doszedłem do Japonii i wykażalem „czarno na białym”, że miejsca tryumfów w historii są właśnie powodem do jej ruin. Cóż wstydu.

Więc myśl badawcza — i podboje.

Filozofia — i koszary...

Wzniosłość — i ucisk...

Historia powiema się rumienić.

Więc ten dyplom magistra filozofii i to oto czenie.

Kultura — i partyzantka.

Intelektualizm, Epikur — i „Miziol”... Leżymy w dziewięciu wzdłuż drogi z bronią przygotowaną — zasadzka. Jak za czasów jaski-

nie — Ale tu o niego przecież nie chodzi.

Chodzi o mnie. Zestawiam dwa różne zjawiska, dwa różne poziomy i dochodzę do ciekawych wniosków, spostrzeżeń i sądów. Oto narzuca mi się pytanie, skąd to powstało, jaki zaszedł spłot wypadków — coś, co najpierw wyzwoiliło we mnie odruch jaskiniowca i na tej podstawie rozwinęło się potem w szereg aktów woli, która dała takiego jak ja osobnika.

Więc dobrze: walka o kraj, walka o całość granic, poczucie obywatelskiego obowiązku? Męskie stanowisko w obronie słabszego? Tak — tak — wszystko to dobrze, wszystko to prawda, ale jednak są to abstrakcje, rzeczy oderwane od konkretów, więc nie to, bo mnie samego nie przekonują...

Więc co?

Obrazy — mój kochany — obrazy: bliskie, ostre, podrywające, domagające się impulsywnej reakcji. Natychmiastowe działania żywa ręka. Natychmiast — zaraz. Tak, że widzi się i zaskasz pięść, która byś trzasnął w łeb, w pysk, w bebec. One mówią, one wywołują z nieodkrytych głębin ludzkiej duszy ową zapoznaną siłę, zarzucając moc, zasypując okrucami trwania, życia, dnia — dni powszednich całego, długiego okresu życia.

Rodzi się człowiek z pewnym zasobem cech, takich jakże mu przekazały pradzieje osobliwych wykształcających dany typ. Pierwobytnie gwałtowne, nie gwałtowne. Czasy jaskiniowych zmagani były zbyt silne w nateżeniu i zbyt długotrwałe w czasie. Wbudowane są mocno w ludzką duszę. Taki instynkt walki. Wychowanie rodzienne, w otoczeniu, w szkole i kościele przytłumia go, zasypuje setką opanowań i otomowań, łagodzi jego ostrość i zasnaja jego bliskość. Aż stanie się coś, co przerwie ową błocę wychowania i świat urzyz dopiero... wynik.

Więc co to wszystko znaczy? Co za zestawienie? Jakże pozioony?

Myśl badawcza — i partyzantka...

Filozofia — i zasadzka.

Demokryt — i „Miziol”...

Właśnie, on na przykład.

— „Ja sobie przed wojną, proszę pana, byłem szewcem — opowiadał mi — a na początek wojny zwyciężajnie handlowałem. Świniam, proszę pana... Tu się kupiło, tu się sprzedawało — jakoś człowiek żył. Strachia też miałem. Złapali mnie „czarni”, dostalem po pysku,

„towar” zabrali. Złapali żandarmi — to samo. Złapali „granatowi”: trzeba było wypić, trzeba było stracić, trzeba było dać coś w łapę. A to słony, a to „rabanki”, a to „forsy”. Różne było. Wiadomo — nie wolno. Ale jakoś można było wytrzymać. Można było wyżyć. Na drugi raz człowiekowi się udało i „odbiło” się za wszystkie straty.

A tu kiedyś mówią: będą kolezki. No — przepadło wszystko. Teraz choć żeby lam. Każda świnia będzie miała numer i będzie zapisana. Ani mru-mru, nie zrobisz. Nie ma mowy, żebyś co kupił. Nie ma mowy, żeby ci kto co sprzedał. Jakt: wszystko opisane, zapisanie, pewne. No! kara śmierci za ubój. Wyrażenie, było ogłoszenie na murach, na ścianach, soltyśi przywieźli.

Ale, nasz człowiek to nie taki łatwy. Nie tak prosto dasz mu radę. To tak jak woda w garści. Im mocniej ściszasz, tym przedziej wycieknie między palcami. Tak, proszę pana, Po miesiącu, po dwóch: a to jednemu złodzieje oderwali kłódkę i „ukradli”, a to drugiemu „zdeczła”, a to trzeciemu „nie rosła”. Tak, nie rosła. Zakolezycowali, zapisali numer, waga 42 kg. I po roku ta sama świnia ma 42, albo najwyżej 45, a teraz to „choruje” i ma 37 kg. — spadła. No nie rośnie... Diabli wiedzą czemu, ale „nie rośnie”...

A proszę pana chłop przez ten czas sprzedał już cztery świnie... Bo jak mu podrosła na 100 kg., to zabił, a kolezki przelożył innej mniejszej.

Więc jak mnie wtedy złapali, to dostalem, świnie zabrali, rower zabrali i zamkli w obozie. Ale ja wiedziałem, co mnie czeka. Podalem się za kogo innego i jak z bezką po wodę z policjantem wychodził, żeby przywieźć z miasta, to wyszedłem, a potem na mieście uciekłem. To chodzili do mnie i chodzili, żone zamkli — powiedzieli: jak maź się zgłosi to cie wypuścimy. Ale ja nie głupi i żona nie głupia. Pół roku siedział i dopiero ja zwolnił. To ja sobie myślę: wy cholery, nie dosyć, że tu do nas przyszliście...

Tu, w tym miejscu opowiadania „Miziol” uzasadnia swoją ideową stroną przystania do partyzantki, mnie zaś przychodziło do głowy, że nie dziwne, iż takie sady kiepskie o nas wygłaszał Niemcy, bo jeśli taki kontroler świn zameldował kolezycarzowi, a kolezycarz referentowi, ten zaś radcy, a radca ministrowi, że tak wolno świnie rosną w Polsce, to taki minister przy najbliższym przemówieniu publicznym wygłosił: „smutnym, ale jaskrawym dowodem niskiego niewiarogodnie poziomu hodowli polskiego rolnika w Gen. - Gub. jest fakt, że świnia po roku karmienia i życia ma zaledwie około 40-kg. żywej wagi...”

I jeszcze co innego przychodzi mi na myśl.

Typy idealistów, pięknoduchów, intelektualistów (jak ja) dzięki warunkom bytowania stworzonym przez tę wojnę, typy chodzące samymi szczytami ludzkiej myśli musiały się przestoczyć w jaskiniowców, żeby przetrwać, obnażyć swój łot — żeby przeżyć. Typy zaś prymitywne wodzące żywot prosty awansowały niepomiernie wysoko. Urosły do poziomu obrońców ojczyzny. Przykład: ja i przykład drugi: „Miziol”.

Oto są prawdziwe znaki czasu tej wojny, w którym żyliśmy i w którym żyjemy.

Goraco się zwiększa. W gąszczu robi się duszno. Rośnie również nasza niecierpliwość.

— Zdaje mi się, że to nie z tego... — półgłosem myślę „Miziol”.

— To samo myślę — dodaje skwapliwie „Wiatr”.

Wycieram w jego tonie jakby skrytą radość, jakby słowami chciał zasugerować zbieg okoliczności na swoją korzyść. Może istotnie nie będzie nic z tego, tak jak on pragnie. Ale cóż: połowa zadania zależy od szczęśliwego przypadku, a druga dopiero od nas.

Przywołał mnie tym do porządku i z braku jakiegokolwiek zajęcia skłonnym jestem wszystkim instrukcje bojowe powtórzę jeszcze raz, ale nawlewa mnie myśl krytyczna, że wobec konieczności bliższej już może działaniem jest to bezsens. W sam czas więc „grzeje się w język”, milknę i odlatuje myślą do tamtych najbliższych wrażeń.

Łapie więc — co? — te obrazy silnie w moją świadomość wpięte, mające swoje stałe miejsce i jaskrawą oprawę emocjonalną. One jakgdyby konkretnie przemówiły do mojej duszy, przemówiły ostatecznie i popchnęły mnie do ścisłego działania. Odwołam je z „taśmy pamięci” i rejestruje jeszcze raz, robię przegląd:

— Pierwszy obraz. —

Pogodny dzień wczesniowy wypełnia kłoz widzialnego świata obiektywnym złotem. Drzewa zastęły w zapyłonym nieruchomym powietrzu. Piękny niepokój zażegnany wieścią o wojnie uciska myśl duszną i ciężką: jak to będzie? co to będzie? kiedy będzie? Niepokój i ciekawość ziame w jedno trudne do określenia uczucie — obawa i zainteresowanie.

Ale oto w te ciszę zapełnioną pogodą wpina się daleki, ostry brzek pracującego śmika. Podniecone oczy myskują po gładkim błękitcie raz, drugi, trzeci... Sa!!! Leczą samoloty!! Równe, rozpostarte punkty. Rosną w oczach i rośnie ich brzek. Jeszcze można liczyć: pięć, dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści!...

Jednak w następnej chwili już nie. Ryk motorów wypcha do ziemi, wiera się w uszy bolesnym skowytom. Zsuwają się ku ziemi kolejną schodą, widać błyskające czarne krzyże na białym tle, a potem... — prawdziwe piakło zstępuje na ziemię... Łomot zrzucanych bomb, strugi ognia, dymu i ziemi, gwizd odłamków i jak miazdza dusze, wrażliwość i miasteczko razem z domem... Trzynaście wielkich salw po trzy maszyny za każdym razem: nisko, bezpiecznie, pewnie.

Podnoszę się osypany ziemią, przerażony, oczadziły od dymu i półmartwy ze strachu. Ostry brzęk odlatujących maszyn toni w dal, dymy się unoszą rudo-czarna chmura, różowe promienie pożarów pną się na ruinach.

I wówczas — kiedy działanie strachu osłabło — przychodził mi do głowy śmieszna myśl — beznadziejny zamiar pogroźenia niedoścignym najeźdźcom pięścią... Myśl: co z tego będzie? co wyniknie?

Obraz drugi.

Rozprężoną od gorąca szosą, w dymach lepkiego kurzu, jaki zastygł w nieruchomym powietrzu gęsta jala, ciągnie prawdziwą powódź ludzka. Jest to obraz pełen grozy. Idą piesi, ciągną wozy, samochody, jadą rowery, wózki, wózki dziecięce — jako pojazdy bagażowe. Ludzie, krowy, psy, konie... Istna wędrowka ludów! Wszystko to zmierza na wschód... W oczach zakrzepła groza, w ustach siedzi pragnienie, zmęczone nogi ustają — i pęd!..

Unosi się nad tym atmosfera strachu, nędzy i opuszczenia. Wiedzę jakiś nierozumny obłąd przestąpił. Uciekać — uciekać! Słowa są urywane, gorączkowe, nieprzytomne, kiedy pada pytanie o drogę, o Niemców, o obłąd czy nocleg.

Droga czyni się strumieniem plekta. Przed nią jakiś nieuzmysłowiony w definicji demon o skompromitowanych cechach: strach, przestępstwo?.. Czy jedno i drugie razem spięte w nierozważną ludzkim pojęciem jedność?..

Na zbrocach rowów, na burtach porośniętych zdeptaną trawą, na ścieżkach zjeżdżających setkami kół tkwią nieruchome, wylęgane z sil osobnik, oparzelcy, sercowi, starzy i wszystkie nędza słabości, która tu na tym szlaku ucieczki wyszła na jaw, ukazała swój potworny prymiot — beznadziejność i beznadzieję.

I znów skądś zza drzew boru, z widnokręgu (prawie zdaje się) jak deus ex machina wylatuje trójką czarnych samolotów. Polatują nisko niejakoby z lekkim płasem. Raz jedno skrzydło wyżej, raz drugie skrzydło wyżej. W oszalałym ze strachu tłum rozpierzionym na pola i rowy sypią się serie lekkich bomb, brzyzga ziemi, kołnuta się tumany dymu, szczękałają salwy maszynowych karabinów — krótko urywane, jadowite.

Patrzę z twarzą ku ziemi. Wdycham pył sprzed siebie, tykam krótkie, głębokie hausty powietrza. Patrzę i chwytam uchem gdzieś z boku dolatujący przejmujący wrzask kobiety: — Tadz!u, kochany. Tadz!u!..

I znów przerwa, i znów krzyk-płacz, ryk-ból:

— Tadz!u mój kochany, Tadz!u!..

Podnoszę się wpełń spoglądam. Z rak kobiety - matki zwisa martwe ciało dziecka. Zaszrzelone na jej rękę. Odsoniła się perkał kowa sukienka jakimś beznadziejnym, niespokojnym sfaldowaniem brzegów.

Patrzę na malejące w błękitnej dali samoloty pobakulące falisto i znów odczuwam owo impulsywne, beznadne zaciśnięcie pięści.

Obraz trzeci.

Głęboka skrzynia naladowana pod wierzchołkami burakami cukrowymi jedzie powoli szosa ciągnęta przez parę wojennych o kłopskiej kondycji walców. Wóz obciążony postąd piętnaście kwintali ciężarem, rzędogoce pracownicy i zgrzyta na wybitych kolumnach nierównościach. Rzędogoce obręczami o kamienie i zgrzyta trąca się mocznie rozwórą.

Na wierzchu na wiązce słomy związanej w ochronny klaczek siedzi stary chłop. Siwe włosy nakrył przedwiośnym wyrudziałym i wysłużonym na jesienianych płutach i letnich żniwnych gorących kapeluszem. Na lewny upór w posuwaniu się do celu koni trzymał w prawicy wyprostowany ku górze jak piurmo-chron — bat.

Za nim sunie lekka wojenna fimuzyna. Niesie na sobie patyne dalekiej drogi. Może Dortmund — może Frankfurt nad Menem. Zdaje się być przyrosnięta do szosy. Zdradza ją tylko ten ruch do przodu. Ma w sobie niejako by pewien wdzięk — opływowe linie nadają jej kształt żuka.

Pada długi, ostry sygnał: wojna droga!

Ale przecież te wojenne walcówki... Przecież to ciężka krypta z burakami... Zanim usłuchały obciążonych lejców, padł sygnał drugi. Zanim skreśliły na bok, samochód dojechał. Dojechał i stanął. Otworzyły się drzwiczki.

— Ha!!!

Głos jest tak wściekły i mocny, że obchudzone walcówki stanęły w miejscu jak wrtę. Były karne czy zmęczone, czy zrozumiały niemiecki wykrzyknik.

Z niskiej ramy drzewczek wysiada rzędowa postać w wymieszonej przodem czapce oficerskiej. Ten sam głos donośny, władczy rzuca polecenia, kłie, wymyśla, a ręka nakazuje zejść ze skrzyni na ziemię. O, to się rozumie, ten język gestów jest przez wszystkich zrozumiały.

Na ziemi przy skrzyni na tle gniatego zadu walcówki błyska spód zdjętego kapelusza śnieżne gołębie włosy starca. Bieleją w szarym dmu listopadowym jakimś kolorystem wstępu i bojaźni. Drzy kapeluszu w starczych rękach. Usta chcą coś tłumaczyć, dłonie wskazują na konie, na skrzynię...

Wszystko na nic.

Prawa ręka z pejem unosi się ku górze — coś się sypią na te włosy, na twarz. Raz... dziesiąty... dwudziesty. Wylatuje z palców bat, dłonie starca opłatają głowę. Ciało kni się, mięknie i zwija przy kołach skrzyni, obok stepiały, wojennych, wchudzonych koni.

Potem samochód odjeżdża.

Potem wódz czerwone pęgi krwawych śladów na pasmach słwych włosów.

Potem zaciskam pięści...

Obraz czwarty.

Ojciec dostał nakaz odstąpienia na kontyngent młodej jałówki. Szuka jest wypasiona, narowista i diablo żywotna. Iść na powroźku za człowiekiem uważa sobie za ogromną ulgę dla swojego honoru młodej krowy. Jeśli

wyjdzie przed nią, zapiera się wszystkimi czterema nogami o ziemię i można jej łeb urwać — nie chce iść. Jeśli ojciec próbował posuwać się za nią, wyginała łeb w bok i pisała w kółko opętaczycać.

Z braku kogo innego przypadła mi rola poganiacza tej niesłownej jałówki. Rad nie rad zrzuciłem pychę z serca a okulary z nosu, ubrałem się stosownie do tej funkcji, podniosłem swoimi magisterskimi dłońmi z ziemi wysłużony dębowy szczebel z drabiny i nim przez całą drogę przekonywałem jałowicę w okolicy ogona, że należy być karną w niemieckim państwie bojaźni bożej.

Doszedliśmy do miasta. Od urzędu do urzędu, od kontroli do kontroli, jałówka znalazła się na rampie kolejowej. Tu tłok jej przygodnych, na ten sam los skazanych towarzyszy do cna przewrócił jałowicy w głowie, choć miała poza sobą kilka kilometrów. Ludzie też byli jak ta jałowica. Kandydatka na niemiecką konserwę zaczęła brykać, wierząc i potraciła wy-czyszczony but konwojenta, który pilnował porządku przy wejściu do wagonu.

Ten z oburzenia ryknął jak ratny tur, zerwał karabin z pleców i uderzył kolbą w bok bladego śmiecielnika ze strachu ojca.

Odruchowo, bez chwili namysłu, podniosłem swój dębowy wysłużony szczebel i przez łeb!..



Niemiec pisknął i upadł. Między ludźmi powstał wrzask. Popuszczali krowy i w nogi. Ojciec rzucił nieszczęsną jałowicę i zajął uciekać. Ja dałem nura między krowy, potem między konie i wozy, stąd w miasto, a z miasta — na wieś!..

Zszedłem.

„Mizioł” poruszył się jakoś znacząco, coś mrknął i otworzył oczy.

Czym spał? Nie wiem, ale chyba nie. Czy to trwało długo czy krótko? Przeżyłem najważniejsze etapy swojego życia może w jednym szybkim drgnieniu pamięci?

Jakby nigdy nie — takim chce być, taką chce mieć miarę. Nie mogę nawet dać poznać po sobie, że mam apetyt na zadrzemanie. Wszystko, tylko nie to.

Patrzę w bielejącą drogę przesianą przez tysiącne oczka skrzyżowanych drobnych galezi sosny i szpilek. Przez moment — niewymiernie krótki moment — zastawiam w myśli tego dawnego chłopczyka w cągowych, o kusznych nogawkach porteczki, tego magistra w białych, autora „Rumiejców historii” z dzisiejszym oficerem partyzanckiego oddziału walczącego za swój kraj z przytaczającą potęgą i przenikania mnie głęboki dreszcz radości dumy. Ten skok, ten awans z takiego wczoraj do takiego dzisiaj jakże jest zdumiewający! I przez co?

Jaką to szła drogą?

— Uwaga, komendancie, uwaga! — szepce zduszonym głosem „Wiatr”.

Szmerze nerwowymi trochę poruszeniami sucha ściółka. Szczękająca obciążona cokolwiek kolba uniesionego stena.

Niech dadzą spokój — niech dadzą spokój. Nawet słysze daleki brzęk motoru jak buczenie trzmiela. Posterunek obserwacyjny na zakrecie lekko się wychylił ku nam i miga umówiony znak ręką, a potem się przeczornie zaszył w krzakach: — jedźcie samochód!..

Tak, jedźcie.

Opanowującym podpływającą pod gardło ciepłą falę wzruszenia i głosem, który ma być uspokajającym zinnym, rozkazuje:

— Uwaga! Gotuj broń!..

Patrzę z napięciem tam w ten spokojny zakręt drogi. Buczanie motoru jest wyraźniejsze i zdecydowane. Słyszymy go teraz wszyscy. Spreżam się cały. Wszystkie władze umysłu i ciała w jedno. Oto stami się: albo — albo. To samo i tamci z prawa i z lewa: „Wiatr” i „Mizioł”. Jeden nachylony do przodu i wspar ty na rękach ma wygląd zaczajonego psa czy wilka. Zupelny czworonóg.

Czuje, jak gdyby przepływała przez mnie wielość światła, wielość barw — wielość dźwięków — jednocześnie — niemniej jednak wśród nich chwytam świadomością wyraźnie, ostro pewne drobne szczegóły z otoczenia. Oto tam zza zakrętu wychyliła się samochód — okiem widzę błysk odbitego w wypukłości lewego błotnika promienia słońca.

Jest gorąco. Pachnie żywicą pedzających młodych czubków sosen. Czaj się rozgrzany cień pod drzewami. Czajmy się i my!..

...Najpierw będą gąmojki!..

...potem będą steny!..

Gdzieś na wyniesionym wierzchołku chojka brzmi monotony przyspiew trznadla.

Teodor Goździkiewicz

Sten'slaw Cieślak

Warunki przemysłowania (III) *

Tak jak wyniki reform społecznych nie zostały jeszcze dostatecznie wyzyskane, jeszcze z tych reform społecznych wszystkich owoców nie zbiera z powodu spekulacji, a powinna zbierać warstwa chłopska i klasa robotnicza, tak samo i nasze dotychczasowe możliwości nie zostały jeszcze wykorzystane. Mamy spółdzielczość Związku Samopomocy Chłopskiej, spółdzielczość, z której jesteśmy dumni, której nikomu nie oddamy i oddać nie możemy, ale zapytała się należy, czy ta spółdzielczość nasza jest w całości spółdzielczością chłopską? Czy ta spółdzielczość nasza służy drobnym gospodarstwom chłopskim? Czy pewna część naszych spółdzielni nie jest jeszcze domeną jakichś różnych mniej lub więcej brudnych interesów?

W tej chwili przejmujemy Izby Rolnicze i tu znów nie wystarczy samo otrąbienie zwycięstwa. Trzeba wyciągnąć z tego zwycięstwa korzyści i korzyści te przekazać warstwie chłopskiej. W tej pracy, tak jak i na odcinku spółdzielczym, nikt nas nie wyręczy. Jeśli my działalności Izb Rolniczych nie uzdrowimy, nie zwiążemy tych Izb z interesem gospodarstw chłopskich, w takim razie wyrządzimy krzywdę nie tylko własnej organizacji, ale i całemu rolnictwu i każdemu chłopu.

Rozpoczynamy wielką akcję, która tak, jak i poprzednie, musi zakończyć się naszym zwycięstwem, rozpoczynamy walkę o wyłączność zawodową. Na terenie rolnictwa powinna istnieć jedna tylko organizacja zawodowa — Związek Samopomocy Chłopskiej. Nie można dopuścić do tego, aby rolnictwo było reprezentowane przez 50 samodzielnych organizacji rolniczych, zwalczających się wzajemnie, będących domeną różnych partii, różnych ugrupowań, wyrwyających sobie wzajemnie ludzi i w rezultacie ustawiających się w ogonku do kasy państwowej po subwencje na utrzymanie swego aparatu i sztabów centralnych. W Polsce powinna być jedna organizacja zawodowa chłopska — Związek Samopomocy Chłopskiej, ale musi to być organizacja, która w swoim planie pracy uwzględni wszystkie interesy i zharmonizuje potrzeby każdej gałęzi uprawy i hodowli i wszystkie zainteresowania chłopów. Czas na rozpoczęcie walki i rzucenie rękawic na stół. Tam, gdzie mamy do czynienia z rzetelną pracą, wychodzącą z terenu, tam, gdzie mamy do czynienia z pewną nieraz uzasadnioną obawą starych organizacji, zaszukanych, dobrze prosperujących, powiązanych z interesami chłopskimi, tam okażemy czułą i delikatną rękę przyjaciela, który chce pomóc. Jeżeli przychodzą nowi działacze, przychodzi nowa organizacja i żąda przejęcia dorobku organizacji, którą zbudowali sami chłopci, to nie dziwnym się, że spotkamy się z początkową nieufnością, która tylko przez rzetelną pomoc rozwiąć można. Tam więc, gdzie organizacja powstała z potrzeby reprezentacji interesów chłopskich, a nie ze względów spekulacyjnych, tam, gdzie mamy do czynienia z dorobkiem społecznym, z właściwym nastawieniem, — zachowamy delikatną rękę i cierpliwość. Tam jednak, gdzie widzimy żerowanie, gdzie widzimy oderwanie się od mas, gdzie widzimy działanie na szkodę terenu czy danej branży, to nie będziemy się bać uderzyć mocno. W stosunku na przykład do plantatorów buraka cukrowego, którzy z nami ściśle współpracują, właśnie okazujemy tę delikatną rękę, nie widząc w tej chwili potrzeby domagania się, aby ten związek nie posiadał osobowości prawnej, natomiast na odcinku plantatorów tytoniu — uderzyliśmy mocno pięścią w stół i doprowadziliśmy do likwidacji tego związku, albowiem jest on opanywany przez elementy spekulacyjne, oderwany od terenu i nie reprezentuje interesów plantatorów.

EKSPORT ROLNICZY CZY PRZEMYSŁOWY?

Zdrowy rozsądek dyktuje, żebyśmy nie nastawiali naszego eksportu w sposób jednostronny, żebyśmy nie próbowali uczytnić z eksportu polskiego eksport tylko rolniczy. Nie byłoby to pożądanym. Nie dąłoby to dostatecznego bodźca naszemu przemysłowi, który chcemy widzieć jak najsilniejszym. Gdyby jednak nasz eksport miał być również eksportem przemysłowym, — również nie byłoby to zdrowe dla naszego gospodarstwa narodowego, gdyż cena uzyskana za nasze surowce i artykuły przemysłowe zagranicą, nie będzie do czasu modernizacji przemysłu ceną atrakcyjną dla naszego gospodarstwa narodowego. Umiejętne ustalenie tych dwóch elementów — eksportu rolniczego i przemysłowego i pamiętanie o tym, że rolnictwo polskie może na sobie dźwigać poważny ciężar inwestycyj przemysłowych przez to, że rzuci pewne ilości na eksport, — jest rzeczą słuszną i konieczną.

Ustalając program działania liczyć się musimy z oporami. Są bowiem w państwie naszym siły reakcyjne, wrogi demokracji, dla których solą w oku jest żywiłowy wzrost zawodowej organizacji chłopskiej — Związku Samopomocy Chłopskiej.

W odróżnieniu od tych sił opozycyjnych i reakcyjnych, które pragną zatrzymać proces wyzolenia mas chłopskich, które wiedzą czego nie chcą, a nie umieją, albo wstydzą się powiedzieć czego chcą, — Związek Samopomocy Chłopskiej, organizacja radykalnej, postępowej wsi — wie czego chce.

Chce polityki gospodarczej, która stworzy realne warunki dla dalszej przebudowy życia społecznego, organizacyjnego i gospodarczego wsi w duchu Manifestu Lipcowego P. K. W. N.

PRZYSZŁOŚĆ ROZWOJU ROLNICTWA

Jak sobie wyobrażamy rozwój gospodarczy w rolnictwie w dalszym etapie? Spożycie artykułów produkcji roślinnej na głowę ludności chcielibyśmy widzieć w wysokości około 120 proc. stanu przedwojennego. Spożycie artykułów produkcji zwierzęcej w kraju chcielibyśmy widzieć po trzech latach w wysokości 60 proc. stanu przedwojennego. Produkcję roślin przemysłowych chcemy wzmocnić w przeciągu trzech lat conajmniej o 50 proc. w stosunku do procentowego udziału tych roślin w naszym areale użytkowym rolnych przed wojną. Produkcję owoców i warzyw pragniemy powiększyć conajmniej o 85 proc. w stosunku do stanu przedwojennego. Być może, że produkcja ta da się podnieść dwukrotnie. Hodowlę nierogacizny, przyjmując jako podstawę obliczenia ilość świń, przypadających na liczbę ludności, chcielibyśmy widzieć podniesioną o 100 proc. w stosunku do produkcji przedwojennej. W hodowlę owiec chcielibyśmy widzieć tę liczbę w wysokości 50 proc. większej, niż przed wojną. W hodowlę drobiu chcielibyśmy produkcję wyciągnąć jak najwyższą, jak tylko się da, być może, że granica 500 proc. jest cyfrą osiągalną, w każdym razie tutaj żadnych ograniczeń nie stawiamy.

Jeśli porównamy sobie te dwie tezy, które przewidują spożycie zaledwie 120 proc. w zakresie roślin i 60 proc. w zakresie mięsa, to rzecz jasna, że proponowana zwyżka upraw i hodowli nie będzie skonsurowana w całości w kraju. Duża część, dochodząca przy roślinalach przemysłowych do 30 proc., a przy drobiu — do 400 proc. powinna być wyrzucona w formie udokonalonego eksportu nazewnaw. Dzięki temu eksportowi rolniczemu, z którym będziemy częściowo gotowi już w r. 1949, bo możemy rozpocząć już eksport w zakresie jaj i przetworów owocowych w roku przyszłym, — okażemy pomoc przemysłowi, zapłacimy za jego modernizację i rozbudowę. Ten eksport rolniczy pozwoli na sprowadzenie maszyn i urządzeń przemysłowych, pozwoli na sprowadzenie surowców, niezbędnych dla przemysłu i pozwoli także na sprowadzenie pewnych środków inwestycyjnych, zwłaszcza zarodowego bydła, potrzebnych dla rolnictwa. W tej chwili palimy świecę z dwóch stron: sprowadzamy i zboże i naftę, konserwy i maszyny i bydło zarodowe, ale przecież wszyscy rozumieją dobrze, iż na dłuższą metę nie może się utrzymać żadne państwo, które sprowadza i artykuły żywnościowe i surowce przemysłowe, maszyny i półfabrykaty.

*) Patrz „Wiś” Nr. 33 (61), 34 (62). Przemówienie wygłoszone na plenum Zarządu Głównego Z. S. Chł.

ku do stanu przedwojennego. Być może, że produkcja ta da się podnieść dwukrotnie. Hodowlę nierogacizny, przyjmując jako podstawę obliczenia ilość świń, przypadających na liczbę ludności, chcielibyśmy widzieć podniesioną o 100 proc. w stosunku do produkcji przedwojennej. W hodowlę owiec chcielibyśmy widzieć tę liczbę w wysokości 50 proc. większej, niż przed wojną. W hodowlę drobiu chcielibyśmy produkcję wyciągnąć jak najwyższą, jak tylko się da, być może, że granica 500 proc. jest cyfrą osiągalną, w każdym razie tutaj żadnych ograniczeń nie stawiamy.

Jeśli porównamy sobie te dwie tezy, które przewidują spożycie zaledwie 120 proc. w zakresie roślin i 60 proc. w zakresie mięsa, to rzecz jasna, że proponowana zwyżka upraw i hodowli nie będzie skonsurowana w całości w kraju. Duża część, dochodząca przy roślinalach przemysłowych do 30 proc., a przy drobiu — do 400 proc. powinna być wyrzucona w formie udokonalonego eksportu nazewnaw. Dzięki temu eksportowi rolniczemu, z którym będziemy częściowo gotowi już w r. 1949, bo możemy rozpocząć już eksport w zakresie jaj i przetworów owocowych w roku przyszłym, — okażemy pomoc przemysłowi, zapłacimy za jego modernizację i rozbudowę. Ten eksport rolniczy pozwoli na sprowadzenie maszyn i urządzeń przemysłowych, pozwoli na sprowadzenie surowców, niezbędnych dla przemysłu i pozwoli także na sprowadzenie pewnych środków inwestycyjnych, zwłaszcza zarodowego bydła, potrzebnych dla rolnictwa. W tej chwili palimy świecę z dwóch stron: sprowadzamy i zboże i naftę, konserwy i maszyny i bydło zarodowe, ale przecież wszyscy rozumieją dobrze, iż na dłuższą metę nie może się utrzymać żadne państwo, które sprowadza i artykuły żywnościowe i surowce przemysłowe, maszyny i półfabrykaty.

EKSPORT ROLNICZY CZY PRZEMYSŁOWY?

Zdrowy rozsądek dyktuje, żebyśmy nie nastawiali naszego eksportu w sposób jednostronny, żebyśmy nie próbowali uczytnić z eksportu polskiego eksport tylko rolniczy. Nie byłoby to pożądanym. Nie dąłoby to dostatecznego bodźca naszemu przemysłowi, który chcemy widzieć jak najilniejszym. Gdyby jednak nasz eksport miał być również eksportem przemysłowym, — również nie byłoby to zdrowe dla naszego gospodarstwa narodowego, gdyż cena uzyskana za nasze surowce i artykuły przemysłowe zagranicą, nie będzie do czasu modernizacji przemysłu ceną atrakcyjną dla naszego gospodarstwa narodowego. Umiejętne ustalenie tych dwóch elementów — eksportu rolniczego i przemysłowego i pamiętanie o tym, że rolnictwo polskie może na sobie dźwigać poważny ciężar inwestycyj przemysłowych przez to, że rzuci pewne ilości na eksport, — jest rzeczą słuszną i konieczną.

Ustalając program działania liczyć się musimy z oporami. Są bowiem w państwie naszym siły reakcyjne, wrogi demokracji, dla których solą w oku jest żywiłowy wzrost zawodowej organizacji chłopskiej — Związku Samopomocy Chłopskiej.

W odróżnieniu od tych sił opozycyjnych i reakcyjnych, które pragną zatrzymać proces wyzolenia mas chłopskich, które wiedzą czego nie chcą, a nie umieją, albo wstydzą się powiedzieć czego chcą, — Związek Samopomocy Chłopskiej, organizacja radykalnej, postępowej wsi — wie czego chce.

Chce polityki gospodarczej, która stworzy realne warunki dla dalszej przebudowy życia społecznego, organizacyjnego i gospodarczego wsi w duchu Manifestu Lipcowego P. K. W. N.

W OSTATNIM 34 — 35 Nr. „WSI”

z dnia 1 — 7 września 1946 r.:

- Adam Polańczyk — Najwzierniejsi; Stanisław Skoneczny — Wrzesień; Stanisław Cieślak II — Warunki przemysłowania; Jan Bolesław Ożóg — Z września; Tadeusz Rózewicz — Dla żołnierza tulacza; Janina Sobieszek (przekł.) — Pod Kutnem; Marian Pechal — Józef Czechowicz poeta pokolenia; Stanisław Pietak — Wspomnienie; Józef Czechowicz — Wiersze; Stanisław Pietak — Maruderzy; Bronisław Maroniek — Myśmy się śmiały a Niemcy płakali; Józef Bieniek — Do Józefa Pogana; Kiemens Oleksik — Ewakuacja miasteczka; Lesław Bartelski — Osnowy; Adam Bahdaj — Ballady seklerskie; Jerzy Sikorski — Z niedawnych dni Katowic; Maciej Czula — Pokój i wojna; Zofia Szczególna — Do Polski i miasta; Leonard Sobierski — „Żeby te księgi zbladły pod strzechy”; 3 ilustracje, ogłoszenia, 12 stron.

Leonard Sobierajski

Odważymy Bratoszewice

Przy autostradzie Łódź — Warszawa, na 22-gim kilometrze od miasta czarnych dymów, leżała rezydencja hr. Rzewuskich — Bratoszewice. Dawniej zaklęty zakątek, niedostępny oku przechodnia, wyspa izolowana; nie przeniknie tam człowiek, obcy, nie należący do klamu, ciekawość jego rozbije się o wysoki mury parku, przez wspinającą zieleni bujnych drzew przesyłająca tylko białymi plamami w głębi leżący pałac. Niedostępność, zamkniętość, odcięcie całkowite się od środowiska, — arystokratyczna izolacja — oto wrażenie przechodnia. — Dawniej.

Ludzi z zewnątrz co dnia wchłaniał tylko folwark. Tam gdzie się dokonywała praca, dopuszczony był prosty człowiek, tam tylko była powierzchowna zetknięcia pałacu i czworaków, pałacu i sąsiedniej wsi. Kontakt tolerowany — to przyjęta praca, jakże często oplacana nędznie i w opóźnionych terminach. Innych styków między tymi dwoma środowiskami nie było — żadnego przenikania. Świat antoheonów, tubylców — chłopów bratoszewickich i świat Europejczyków — ludzi z pałacu.

Przeszła wojna, wojna, która przyspiesza niejednokrotnie procesy przemian społecznych — w polu widzenia bratoszewickiego człowieka dokonają się odwracające utarty porządek świata zmiany. Bramy pałacu otworzyły się na oścież. W rezydencji zasiadli nowi gospodarze — to Państwowy Instytut Praktyk Rolniczych i Państwowe Liceum Handlowe.

Czym są te dwie instytucje w ogóle i czym są dla bratoszewickiej okolicy.

OSRODEK „DOBREJ RADY”

Przez Bratoszewice przetacza się front, mający silną rzecz ulega dewastacji. Po ukończonej wojnie przejmie go Państwo. Częścią ziemi zostają nadzieleni bezrolni i małorolni gospodarze oraz robotnicy folwarczni. Pozostaje resztówka — około 400 ha. Ta resztówka ma się stać warsztatem pracy dla Instytutu. Cóż on robi i co ma robić? Wsuwają się tu na początek prace dorywcze, prace mające na celu uruchomienie samego gospodarstwa. Brak tu jednak wszędzie inwentarza, narzędzi, ściany pałacu świecą pustkami, normalne skutki dzikiej, bezpardonowej wojny. Stan prawie jak po pogorzelu. Trzeba wszystko stawić od początku. I właśnie cały wysiłek ludzi stojących na czele ośrodka idzie w tym kierunku. Zagospodarować się na razie. Obsiać, obsiać za wszelką cenę, napelnić obory, ożywić stajnie — to zostało zrobione, maszynę puszczono w ruch, stworzono warunki dla dalszej racjonalnej gospodarki. Jak ma właśnie wyglądać ta racjonalna gospodarka? Instytut jest nastawiony na hodowlę, to wyznacza nową strukturę, nowy porządek pracy dla ośrodka. Będzie się tu hodowało rasowe bydło, konie, trzodę chlewną i drób. W związku z tym trzeba będzie odpowiednio wykorzystać i ziemię — produkcja rolna będzie więc przestawiona na uprawę roślin pastewnych. Co zyskuje okolica bliższa i dalsza? Może otrzymać w niedalekiej przyszłości bydło rasowe czy kury, może uczyć się na przykładzie ośrodka, jakie produkować racjonalne pasze, by krowy były dobrze odżywione. To da im możliwość podniesienia dochodowości swoich gospodarstw prywatnych. Ośrodek już dzisiaj ma sprowadzonych ze Szwecji kilkanaście sztuk rasowych krów holenderskich, sprowadza również konie pociągowe — perszerony, ma już u siebie także rasowe kury — karmazyny. Wszystko jest oczywiście w zaczątku, w stadium budowy, dlatego też może drobny rolnik, patrzący z boku na razie nie dostrzeże, że to jest praca robiona dla niego, że owoce jej będzie on spożywał w przyszłości, będzie korzystał z tych wszystkich doświadczeń i osiągnięć, które zostaną dokonane na terenie bratoszewickiego Instytutu. Uświadomienie sobie tego jest obowiązkiem chłopu — rolnika w jego własnym naturalnym interesie. Tu apelujemy do „Związku Samopomocy Chłopskiej” w Bratoszewicach. — Niech nie śpi, niech wie, że ma swoim członkom w tym uświadomieniu pomóc, niech pomyśli również o nadzielenych chłopach ziemią bratoszewicką. Ziemia nadzielona to dopiero pierwszy krok Reformy, to dopiero punkt wyjścia — start. Z. S. Ch. — pierwsza chłopska instytucja musi pomóc wyjść tym swoim nadzielenym z ich pierwszych trudności, musi on stać się tym łącznikiem między Instytutem a drobnym rolnikiem.

Instytut już od tej chwili dokonuje poważnej pracy, o dużych skutkach społecznych. Przeprowadza badania nad pewną chorobą, szerzącą się wśród bydła; jest to choroba, zwana chorobą Banga. Właśnie w okolicach Bratoszewic notuje się dużo wypadków tej choroby. Polega ona na tym, że krowy jej ulegające często roma. Jest to kolosalna strata w gospodarstwie. Powodem tej choroby jest to, że bydło jest wybrakowane. Podrasowanie krów i dorażne leczenie (wypracuje to Instytut) usunie wśród rolników tę poważną kłeskę.

Zbierając to wszystko, co wyżej powiedzieliśmy, musimy stwierdzić, że Instytut Praktyk Rolniczych w Bratoszewicach ma dużą rolę do spełnienia, jest on ośrodkiem promieniującym na okolicę. Musi uniknąć za wszelką cenę dawnej pałacowej tradycji, tradycji izolacji, dziś drzwi jego pracowni muszą stać otworem dla sąsiadów — chłopów — rolników. Niech to nie będzie tylko zamknięta instytucja naukowa ale obok tego instytucja służąca praktycznej radą, wskazówkami i owocami swej pracy dla okolicy rolniczej. Chłop musi wyzbyć się dawnego strachu i omiamań chłystkiem samego miejsca pracy Instytutu, boć to już nie pański pałac, ale ośrodek pracy mający służyć dzisiejszej wsi. Są w nim inni ludzie i panuje lub powinna panować inny duch. Wieś i dawny pałac a obecny Instytut niech wyścigną do siebie ręce dla dobra całej gospodarki wiejskiej.

WIEJSKA SZKOŁA FACHOWCÓW I DZIAŁACZY ROLNYCH.

A teraz Państwowe Liceum Hodowlane. Jest to coś, co powstało, otrzymało konkretny kształt, dzięki wysiłkowi niewieleklego zespołu nauczycielskiego i uczniowskiej gromady. Oni to własną pracą uporządkowali zaśnieżony pałac, oni to własnym przemysłem zrobili ławy i stoły szkolne, własnym staraniem zdobywają pomoce naukowe. Nieczłonia na razie grupa wiejskiej młodzieży (około 25 osób), ściągająca tu z różnych stron kraju, by zdobyć rzetelną, solidną wiedzę, wiedzę, która pomoże im do podniesienia w swoich środowiskach po powrocie ze szkół, stanu naszej gospodarki rolnej. Uczniowie wsi to przyszli inżynierzy rolni powiatów, to przyszli nauczyciele powszechnych (gminnych) szkół rolniczych. Z ich nastawienia, z ich entuzjazmu do pracy widać, że będą to przyszli działacze wiejscy, dobrze znający pole swojej przyszłej pracy. Specjalny duch ożywia tę młodzież. Nauki nie cenią oni tylko dla przyszłego fachu, dla osiągnięcia poprzez niego stanowiska, cenią oni ją sobie przede wszystkim dla tego, że jest ona ceną społeczną, że poprzez nią coś się praktycznie zmienia na naszej wsi, że ma ona wyprowadzić chłopca z jego dotychczasowego gospodarowania, które pożałuj Boże! dawało rezultaty bardzo mizerne w porównaniu do tego co osiągał chłop duński, czy choćby Czech, bądź Słowak. Młodzież ta podtrzymuje kontakty ze środowiskiem, z którego wyszła. Silne są więzadła łączące ją ze wsią bratoszewicką. Dla wsi tej stara się ona na swój sposób już pracować. Organizuje odczyty, świetlice, przedstawienia. Bratoszewice — wieś nie kwituje tych wysiłków obojętnością, garnie się do każdej akcji kulturalnej podjętej przez Liceum.

Duszą tej młodzieży, jest Dyrektor Liceum — ob. Czesław Garda. Człowiekowi temu należy się na tym miejscu najwyższe uznanie. Oto prawdziwy działacz kulturalny, kocha on młodzież, którą kieruje, umie wydobyć z niej maksimum wysiłku i dobrej woli. Nie jej nie narzuca, ale ją inspiruje, jest dobrym doradcą. Zorganizował on dla wsi szereg odczytów, wprowadzających chłopca w zagadnienia gospodarcze i kulturalne. Zaprosił do tego prelegentów z Łodzi, wysuwając tu i własnych uczniów. Jakże było za interesowanie wsi tymi prelekcjami? Powiedziałbym, że duże. Na każdy z referatów przychodziło od 30 do 100 osób. Nie mogę się tu powstrzymać od przypomnienia o pewnym fakcie z terenu łódzkiego. Otóż gdzieś w maju r.b. był zapowiedziany odczyt w sali „Czytelniaka”, odczyt poświęcony zagadnieniom współczesnej gospodarki polskiej. Przybyło na referat 5 osób. Na odczyt w Liceum bratoszewickim p.t. „Bogac-

stwa naturalne nowej Polski” przyszło 50 osób. Mówię to nie ze względów demagogicznych, ale ot dla żartu:

Łódź, sala „Czytelniaka” — to samo zagadnienie, doskonały prelegent — 5 osób, wieś — Bratoszewice — Liceum Hodowlane, prelegent pan Garda — 50 osób.

Na ostatniej imprezie, którą miałem przyjemność oglądać. (Szkoła wystawka druga część „Dziadów”) było około 200 osób, a więc prawie czwarta część całych Bratoszewic (900 mieszkańców).

Wieś nie jest obojętna, dla tego, co w jej ramach i dla niej robią ludzie, którzy tę wieś kochają i pragną dla niej pracować. Ludzie z Bratoszewic często przychodzą do świetlicy, zorganizowanej przez „Samopomoc Licealną”. Jest tu radio, są książki rolnicze, jest dużo czasopism. Zobaczyliśmy tam i naszą „Wieś”. To jest właśnie cenne u uczniów tej szkoły. Chcą wyjść na zewnątrz, chcą udostępnić tego, co się samemu uważa za wartościowe, kregowi jak najszerzszemu. Silne są więzadła łączące bratoszewickie Liceum Hodowlane i bratoszewicką wieś. Niech te więzadła się zaciekają. Niech szkoła i okolica coraz bardziej się przenikają, niech się wzajemnie uczą. Ta duża instytucja z ośrodka bratoszewickiego powinna się stać awangardą swoich wsi. Musi ona swoją wiedzę praktyczną uzupełniać wiedzą gruntowną terenem, na którym będzie w przyszłości działać. Wszystko to, co wypracuje Instytut Praktyk Rolniczych, musi być przez absolwentów Liceum popularyzowane i wprowadzone w życie; wtedy nasze słomiane wioski zmienią swoje oblicze.

Wieś polską przybierze wygląd wioski duńskiej, szwajcarskiej, czy holenderskiej.

Na zakończenie mojego sprawozdania pragnę podkreślić jeszcze jedno. Będzie to fakt drobny, ale znamienity. Organizatorzy ostatniej imprezy w Bratoszewicach — uczniowie i nauczyciele oddają dochód z przedstawienia na odbudowę Warszawy. Synowie wsi nie myślą tylko o swoim podwórku. Biorą udział w pracach całego narodu. Warszawa jest miastem, które i chłop chce odbudować, boć to stolica dziś i jego Ojczyzny.

KSIĄŻKI NADESLANE

WYDAWNICTWA „KSIĄŻKI”

Władysław Broniewski — Bagnet na broń, str. 47 + nrb; Drzewo rozpaczające, str. 92 — Pod znakiem poetów.

Bolesław Prus — Powracająca fala, Grzechy dzieciństwa, Na wakacjach, Katarynka, Antek, Pałac i rudera.

Maria Konopnicka — Głupi Franek, W winiarskim forcie, str. 47 — Mendel Gdański, str. 31. Dym, Martwa natura str. 24.

Tadeusz Hołuj — Wiersze z obozu, str. 69 + 3 nrb.

M. W. Gogol — Martwe dusze, str. 266.

S. Zajączkowski — Dzieje zakonu krzyżackiego str. 138.

WYDAWNICTWA INNE.

Stefan Żeromski — Popioły tom I-szy str. 269, tom II-gi str. 282, tom III-ci str. 282. Sp. Wyd. „Czytelnik”.

Mieczysław Kafel i Antoni Olcha — Wieś pisząca str. 141 + 2 nrb, skład główny „Czytelnik”.

Tadeusz Kudliński — Mantelupa, str. 246 skl. gl. „Czytelnik”, Kraków 1946.

Dr. M. Ossowska — Wzór obywatela w ustroju demokratycznym str. 20, Warszawa 1946 Tow. Uniw. Rob.

Jerzy Eugeniusz Piłomieński — W kręgu polskiej irredenty, str. 128. Państw. Instytut Wyd. Warszawa 1946 r.

Leszek Klima — Łużyce wołają — str. 38, Toruń, Z.N.P. 1946 r.

Podpalacze światła. — Praca zbiorowa ze wstępem Wacława Rogowicza Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1946 r. str. 381.

Harrington Emerson — Dwanaście zasad wydajności pracy str. 86, Wyd. „Poligrafika” Łódź 1946 r.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś” przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII-1080

Prenumerata „Usi” wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

„Wieszcz narodowy Flanarii jest głosem bohaterstwa nieśmiertelnej wolności”

„Monumentalne arcydzieło na miarę Don Kiszota”
(z przedmowy Romain Rollanda)

Karol de Coster

**OSOBLIWE PRZYGODY
DYLA SOWIZDRZAŁA**

Pierwsze wydanie zupełnie ilustrowane

Str. 484

zł. 250, —

„K S I A Ż K A”

P. P. T. i M. R.

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO TRAKTORÓW I MASZYN ROLNICZYCH

ODDZIAŁY:

CENTRALA:

ŁÓDŹ,

AL. KOŚCIUSZKI 46

TELEFONY: 110-24,

174-61, 152-35

BIALYSTOK LUBLIN
BYDGOSZCZ ŁÓDŹ
CIEPLICE OLSZTYN
GDAŃSK OPOLE
KATOWICE POZNAŃ
KIELCE RZESZÓW
KRAKÓW SZCZECIN

WARSZAWA

DELEGATURA W WARSZAWIE
DELEGATURA DLA SPRAW „UNRRA” W GDAŃSKU
ORAZ NA TERENIE RZECZYPOSPOLITEJ 247 STACJI

**PIONIEREM MOTORYZACJI
I MECHANIZACJI ROLNICTWA**

SPROSTOWANIE

Z powodu niedopatrzenia korektora wiersz Józefa Czechowicza p. t. „Zal”, zamieszczony w nrze 34-35 (52-53) „Wsi” został rozdzielony.

Wiersz „O żniwa” jest dalszym ciągiem wiersza „Zal”, przyczem słowa „O żniwa” nie są tytułem, jak mylnie podano.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kałuziński Zygmunt, Morton Józef, Oza-Michalski Józef, Pięta Stanisław. Komitet terenowy: Frasił Józef Andrzej, Nęcza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2. D-01898